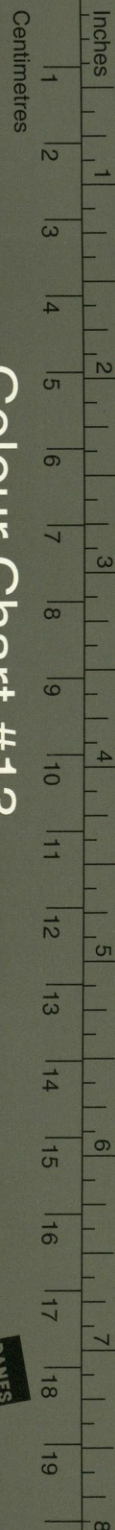


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

341/



18341

ROBERT DE JOUVENEL

REPUBLIKA KOLEŻKÓW

POSŁOWIE
PAUL MORAND
„W DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ“

Z ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO
„LA RÉPUBLIQUE DES CAMERADES“

PRZEŁOŻYŁ
JANUSZ POPIEL

PRZEJRZAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
CZESŁAW ZNAMIEROWSKI

„NASZA KSIĘGARNIA“
WARSZAWA

1937

REPUBLIKA KOLEŻKÓW

ROBERT DE JOUVENEL

REPUBLIKA KOLEŻKÓW

POSŁOWIE
PAUL MORAND
„W DWADZIEŚCIA LAT PÓŻNIEJ“

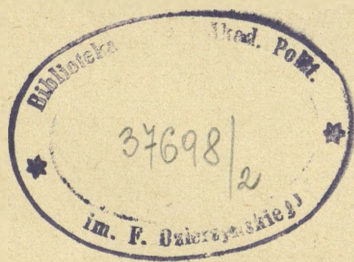
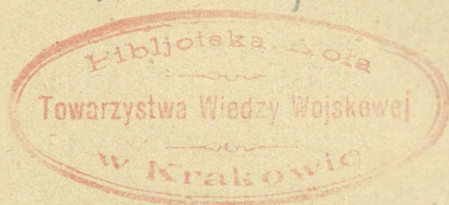
Z ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO
„LA RÉPUBLIQUE DES CAMERADES“

PRZEŁOŻYŁ
JANUSZ POPIEL

PRZEJRZAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
CZESŁAW ZNAMIEROWSKI

„NASZA KSIĘGARNIA“
WARSZAWA
1936

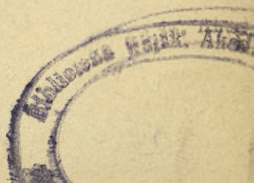
1834/11



PRZEDMOWA
DO POLSKIEGO PRZEKŁADU.

Ustrój państwowy, w którym parlament ma pozycję naczelną, przeżył się w Polsce szybko i zwyrodniał w sposób typowy. Mocą działania sił, które leżały w samej jego istocie, doszedł do wewnętrznego rozkładu, a przełom majowy zwrócił tendencje rozwojowe Państwa w zupełnie innym kierunku. Nie grozi nam tedy dzisiaj niebezpieczeństwo sejmowładztwa, to znaczy, w istocie rzeczy, anarchicznej dezorganizacji państwa. Mogłoby się więc wydać, że zbędny jest w Polsce lek na radykalnie przewyciężoną chorobę, a nawet traktat opisowy o niej, jako rzecz nieaktualna.

Niemniej, dość jest na to powodów, by przekład książki Jouvenel'a uważać za pożądany nabytek dla naszego piśmiennictwa. Kto z bezpośredniej styczności wie, jak bogata jest produkcja narodów zachodnich w dziedzinie nauki o państwie, ten rozumie nasze własne i ilościowe, i jakościowe ubóstwo. I nie będzie poczytywał za zby-



tek przekładu książki, która dzięki swym wysokim walorom zachowa z pewnością trwałą i ważną pozycję nawet w piśmiennictwie francuskim.

Po drugie, parlamentarne schorzenie państwa nie zostało jeszcze przewyciężone na świecie i swemi skutkami wtórnemi dotyka nie tylko narody, które mu ulegają, lecz również inne: wpływa bowiem wydatnie na niezmiernie czuły układ równowagi między państwami. Od ustroju wewnętrznego, od skupienia lub dyspersji sił wewnętrznych, zależy zewnętrzna polityka państwa. I zagadnienie parlamentaryzmu, choć nieaktualne w wewnętrznym życiu państwa, ma dla nas życiowe i doniosłe znaczenie już przez to, że jest sprawą przełomowego znaczenia dla Francji, z którą nas łączy stara, głęboka, choć jednostronna sympatja i obustronny interes, widziany i rozumiany również przez stronę jedną.

Po trzecie, nie wszystkie zagadnienia, związane z parlamentaryzmem, są dla nas nieaktualne. Jednym z istotnych rysów regime'u parlamentarnego jest fakt, który nazywam emergencją polityczną: to, że stanowiska naczelne obsadzone są poza koleją wznoszenia się po szczeblach hierarchji urzędniczej, na zasadach, które często nie mają nic wspólnego z probierzem rosnącej w praktyce zawodowej kompetencji. Tej właśnie emergencji na urzędach ministerjalnych poświęcone są najbardziej pełne humoru karty książki Jouvenel'a. Otóż ten rys, znamieny dla parlamentaryzmu, nie jest mu swoisty wyłącznie. W ustrojach, od niego odmiennych, mogą też

powstawać sploty przyczyn, które powodują zjawisko emergencji, związane, zda się, niemal nierozzerwalnie ze strukturą państwową, gdy tworzenie hierarchji władczej oparte jest nie na jednej, rzeczowej, lecz na dwóch co najmniej, od siebie odmiennych, zasadach. Drugim rysem, który Jouvanel mocno podkreśla i uwidocznia nawet w tytule, jest „wspólnota interesów” elity parlamentarnej, górująca nad różnością przekonań. I ten rys nie jest swoisty dla ustroju parlamentarnego. Można go dostrzec i w państwie biurokratycznym, jak przedwojenna Rosja, i w każdej wogóle oligarchji, która się dość wyraźnie wyodrębniła od masy rządzonej, jak to ma miejsce, naprzykład, w ustroju faszystowskim.

Wreszcie, po czwarte, parlamentaryzm interesować nas może jeszcze dlatego, że, choć przecięziony w rozwoju naszego państwa, pozostaje nadal ideałem ustrojowym niektórych ugrupowań politycznych. Narodowa Demokracja mówi o nim z entuzjazmem przez sen na jawie, choć zapewne inaczej myślałaby o nim, pogrążywszy się raz jeszcze w ponure fantasmagorie rzeczywistego władania. Lewicowa opozycja integralna marzy o nim również, jako o etapie rozwoju, otwierającym perspektywy na mniej już parlamentarystyczne instytucje „radzieckie”. Cień parlamentaryzmu snuje się więc jeszcze po Polsce, i nęka (przypomnieniem djet), i wabi ludzi tem, czem nie jest.

By się rozwiąt, dobrze będzie rzucić nań ostry promień humoru, w którego świetle uwypu-

klą się i w formach nieco ostrych się ukazą cienie tego cienia: tragizmu pełne wady i słabostki, godne pobłażliwego uśmiechu.

Jouvenel rzuca właśnie taki ostry promień humoru i satyry na ustrój parlamentarny. Nie zniekształca bynajmniej jego obrazu i nie czyni zeń karykatury. Poprostu podchwytuje rzeczywistość okiem niestychanie przenikliwego analisty, a później mistrzowskiem piórem utrwała postrzeżone obrazy, ze spokojem człowieka, który wszystko rozumie, i z dyskrecją gentleman'a, który nie zwykł śmiać się głośno.

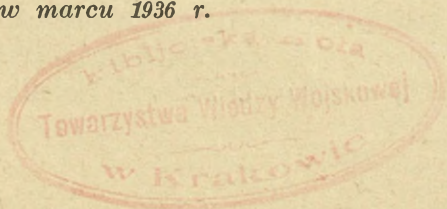
Czytelnik polski z pewnością śledzić będzie z dużym zainteresowaniem wywody tej książki i zatrzymywać uwagę na lapidarnych zwrotach, w których niejednokrotnie nawarstwia się jednocześnie kilka subtelnie różnych odcieni myśli.

Było niezmiernie trudnem zadaniem dla tłumacza, oddać w dobrej polszczyźnie finezję francuskiego oryginału. Piszący te słowa starał się pomóc przekładcy, w granicach swej umiejętności, w formułowaniu ostatecznem tłumaczonego tekstu.

Za ortografię tekstu przyjmuję pełną odpowiedzialność, dzieląc z całym społeczeństwem pobłażliwą cierpliwość wobec prób nowatorskich, które zmierzają do tego, iżby żaden Polak nie pisał ortograficznie.

CZESŁAW ZNAMIEROWSKI.

Poznań, w marcu 1936 r.



W S T Ę P.

Michelet nazywał Republikę „Związkiem wielkiej przyjaźni”.

Ale Michelet był poetą, no i czasy się zmieniły: Republika jest już tylko wielkiem koleżeństwem.

Miedzy ludźmi, którym z jakiegokolwiek tytułu jest powierzona kontrola spraw publicznych, powstaje pewna zażyłość. Nie jest to sympatja, ani poważanie, ani zaufanie; jest to raczej koleżeństwo, coś, krótko mówiąc, pośredniego między poczuciem solidarności korporacyjnej i współwiny.

*

*

*

Prawda to elementarna, że demokracja opiera się na kontroli.

Aby istniała kontrola, mawiał Montesquieu, trzeba rozdziału władz. Niegdyś były trzy władze: wykonawcza, ustawodawcza, sądowa. Dziś jest jeszcze czwarta: prasa.

Zasadniczo władze w dalszym ciągu są rozdzielone. Ale sąsiadują ze sobą.

Co najmniej można powiedzieć, że przywykły się spotykać: w Parlamencie — w Sali Pokoju, w Pałacu Sprawiedliwości — w hallu, ponadto zaś w przedpokojach ministrów, w gabinetach redakcyjnych, w życiu towarzyskiem, a nawet w kawiarni. Stąd wytworzyły się serdeczne stosunki. Władze nie pomieszały się ze sobą, lecz dzięki Bogu tylko się ze sobą bardzo ściśle związały.



Aby kontrola istniała z pożytkiem, musi rozporządzać sankcjami.

W nowoczesnem Państwie istnieją cztery potężne sankcje: interpelacja, odwołanie z urzędu, skandal i więzienie.

Interpelacja, dla członków rządu.

Odwołanie z urzędu, dla urzędników.

Skandal, dla ludzi poważanych.

Wieżienie, dla wszystkich.

Czasem sankcje te łączą się, ale to tylko wyjątkowo. Nie interpeluje się włóczęgów, a mężowie stanu wymykają się zazwyczaj trybunałom. Panuje przekonanie, że jest to przywilej; lecz może jest to tylko sprawiedliwe wyrównanie.

Sankcje stają się coraz rzadsze.

Niewątpliwie interpeluje się jeszcze, lecz za każdą interpelacją jest jakaś kombinacja, która

się ukrywa, lub jakaś ambicja, którą zupełnie dobrze widać.

Nie stosuje się już odwołania z urzędu.

Prasa waha się przed skandalem, oszczędzając swych przyjaciół, stronników i klientów.

Sprawiedliwość pełna jest myśli ukrytych.

*

*

*

Demokracja, która opierała się wygodnie o kontrolę, zasnęła wśród wzajemnych uprzejmości.

Ten kraj nie ma już urządzeń państwowych.

Zresztą obchodzi się bez nich doskonale. Francja, to ziemia szczęśliwa, gdzie szczodrobliwa jest gleba, rzemieślnik przemyślny, a los uśmiecha się potrochu do wszystkich. Polityka jest tu upodobaniem wszystkich, lecz nie jest dla nikogo istotnym warunkiem życia.

I kraj ten pozwala w swej łagodności na to, że rządzą nim ludzie, którzy nie kuszą się, by dać mu doktryny śmiałe, rząd z mocą władczą, sprawiedliwość bez ohyby, lub prawdę brutalną. Nie pragnie on czerpać pomyslności ze swych instytucyj, sam w sobie ma bowiem pomyslność.

*

*

*

W ten sposób mógł powstać ustrój ciekawy: oparty na swobodnem uznaniu, ograniczonym jedynie przez stosunki z innymi.

Tak można ująć formułę Państwa, gdzie według Capus'a wszystko się samo układa.

Odmawiamy poszanowania dla waszych praw, ale natomiast uznajemy chętnie prawa, których nie macie.

Niewątpliwie nie przypomina to w niczem sprawiedliwości, lecz doprowadza do szeregu niesprawiedliwości, które się wiążą ze sobą, przeciwstawiają sobie i miarkują wzajemnie według formuły dość naogół szczęśliwej.

Nie zadawała to nikogo, lecz ochrania wszystkich. W ostatecznym rozrachunku niewiele jest ludzi całkowicie pokrzywdzonych, a régime pobbłażania cieszy się z kolei ogólnem pobbłażaniem.

Niestety, niema tam ani szacunku, ani entuzjazmu. Brak przywiązania do ustroju stał się zwykłym grzechem najżarliwszych republikanów. Ostatecznie jest to dość zrozumiałe. Niewiele już ludzi zechce poświęcić życie za tak zmieniony ustrój republikański.

Jest to naszą słabością, że tego żałujemy.

*

*

*

Oto obraz tego nieszczęsnego ustroju, który usiłowaliśmy naszkicować: ustroju, gdzie mało bywa wielkich skandali, lecz wiele małych, mało malwersacyj, lecz wiele wzajemnych grzeckości. Powzięliśmy projekt zbyt może ambitny, aby wzięwszy czytelnika za rękę, oprowadzić go po wielkich instytucjach państwowych. Powie my mu:

— Byłeś obecny przy wielkich rozprawach parlamentarnych, zobacz więc, jak się je przygotowuje. Wypowiadałeś się o programach politycznych, przyjrzyj się teraz, jak je opracowują. Czytałeś dzienniki, spójrz, w jaki sposób powstają. Olśniony byłeś powagą rozpraw sądowych, zajrzyj teraz sam do sali narad. Widziałeś ministrów, chadzających w sławie na komisjach, podziwiał ich teraz w intymności ich gabinetów.

Projekt ten mógłby się wydać zuchwały, gdyby nie to, że żyjemy w epoce, która nie odznacza się wprowadzie szczerością, lecz w każdym razie nie ma w sobie żadnych tajemnic.

*

*

*

Książka ta, to praca człowieka, który jest dziennikarzem: obracał się on często wśród parlamentarzystów, przemierzył Pałac Sprawiedliwości i przenikał do gabinetów ministerjalnych. Nie jest to los specjalnie zaszczytny, był on udziałem wielu ludzi, a mógł być przypaść nawet każdemu.

Autor przeprowadzał wszędzie poszukiwania z odpowiednią względnością. Pragnęlibyśmy, aby uwierzono naszym zapewnieniom, że jeśliśmy nie potrafili wszędzie zachować powagi, to sami przedewszystkiem tego żałujemy.

Zostanie sprowadzona ta książka do jej właściwych granic, jeśli się zgodzimy nie szukać w niej nic, poza zwykłym opowiadaniem o tych przykrych sprawach.



Jedną ze stałych naszych trosk w tej pracy było nie ulec pokusie skandalu. Unikaliśmy przypadków monstrualnych, szukając jedynie normalnych. Książka ta jest bezstronna.

Gdyśmy się już pokusili o odmalowanie kariery parlamentarzysty, to przyjęliśmy, że jest on dzielny, inteligentny i sumienny.

Gdyśmy mówili o skrupułach, które mogą powstawać w sumieniu urzędnika, to mieliśmy intencję posadzić na ławie oskarżonych tylko tych urzędników, których sumienie nie zna dróg krętych.

Gdyśmy opowiadali historyjkę o jakimś ministrze, wyobrażaliśmy sobie, że był on z tych, którzy stoją na wysokości zadania.

Nie powoływaliśmy się na prasę brukową, czy też zajmującą się szantażami.

Spróbujecie jednak w miejsce tych dzielnych ludzi, których udrękę w wykonywaniu ich zawilego zadania usiłujemy tu opisać, postawić zawodowego „politykiera”, ambitnego urzędnika, naiwnego ministra, i dziennikarza bez skrupułów, bo istnieją i takie gatunki ludzi — i wyobraźcie sobie na jakie targi, kompromisy i szantaże będą wówczas narażone nasze instytucje.

Niestety, nie potrzebowaliśmy używać zbyt czarnych barw, ani przypominać sprawek wielkich aferzystów. Przykłady uczciwych ludzi wystarczą.

*

*

*

W naszym pojęciu książka ta traktuje rzeczy poważnie. Prosimy o wybaczenie, że nie umieliśmy jej napisać w tonie doktrynerów.

Może bylibyśmy mogli podkreślić melancholijny charakter widowiska. Uważaliśmy jednak, że znacznie ważniejszą rzeczą było spojrzeć na zło, niż ubolewać nad niem.

W szczęśliwych czasach — optymizm jest zbytkiem, w naszych — jest obowiązkiem.



PAŁAC BURBOŃSKI.

C z ę ś ć p i e r w s z a.

SZCZEBLE KARJERY.

I.

O zawodzie.

Chociaż ludzie, których lud suwerenny powołuje do Pałacu Burbońskiego *), aby reprezentowali przez cztery lata jego imię, interesy i prawa zwierzchnicze, nie są ani tego samego pochodzenia, ani tych samych uzdolnień, ani takich samych poglądów, — to w każdym razie łączy ich ta sama postawa umysłu.

Wszyscy dostali się tam temi samemi sposobami, poprzez te same przeszkody i napotyka ją codziennie te same trudności. Przebywają obok siebie w tym samym lokalu, mają takie same zajęcia, zasiadają na ławach sąsiadujących, przyjmują swych wyborców i swe kochanki w tych

*) Siedziba parlamentu francuskiego.

U w a g a: Przypisy autora oznaczone są w tekście liczbami; przypisy tłumacza — gwiazdkami

samych małych salonikach, licho oddzielonych drewnianymi przepierzeniami, mają te same biurka, bibliotekę, papier listowy i bufet.

Niema pomiędzy nimi żadnej różnicy, prócz odmienności poglądów; przekonamy się jednak, że to rzecz, o której nie warto mówić.

W stosunkach pomiędzy jednostkami panuje jaknajwiększa swoboda. Posłowie zbliżają się między sobą z racji wspólnych sympatyj, przyzwyczajęń, czy sąsiedztwa, rzadko z racji swych zasad. Nieporozumienia zdarzają się z powodu żartu, intrygi, bez przyczyny nawet, lecz nigdy z powodu dyskusji na posiedzeniach.

Można sobie wymyślać z mównicy od „renegata”, czy „wroga narodu”, co nie zaostrzy ani na chwilę stosunków w kuluarach. Gdy dwaj deputowani o skrajnie przeciwnych poglądach spotkają się po raz pierwszy — tytułują się „kochany kolego”. Za drugim razem są już „na ty”.

*

*

*

Czasem nawet „tykają się” natychmiast.

Gdy w 1910 r. dwustu czterech posłów zasiadło po raz pierwszy w Pałacu Burbońskim, pierwszą powziętą przez nich decyzją było usunięcie tytułu „pan” z ich stosunków.

Dali w ten sposób wyraz temu, że dla nich istotne są nie poglądy polityczne, które reprezentują, lecz zaszczyt, który ich spotkał. Skądkolwiek się wywodzą, zesłi się tam, dokąd dążyli: to tylko jest dla nich ważne.

Piechur, artylerzysta, czy kawalerzysta zawsze jest żołnierzem. Umiarkowany, radykał, czy rewolucjonista, przedewszystkiem jest posłem. Niewątpliwie można być przekonanym o wyższości swej broni, lub swej partji, lecz nie wolno uważać za wroga człowieka z innej broni, czy też o przeciwnych poglądach.

Europejczycy, oblężeni w ambasadach w Pekinie, zapomnieli na chwilę o swej narodowości i myśleli jedynie o wspólnej obronie zagrożonego życia. Posłowie, napastowani przez tych samych klientów, gnębieni przez analogiczne trudności i jednakową niepopularność, odczuwają potrzebę podania sobie rąk i utworzenia frontu przeciw wspólnemu wrogowi — wyborcy.

Oblężenie ambasad trwało kilka dni. Oblężenie parlamentu trwa od czterdziestu lat *).

*

*

*

Poseł — to niewiele więcej niż człowiek, a przecież coś zupełnie innego.

Mniejsza jest różnica między dwoma posłami, z których jeden jest rewolucjonistą, a drugi nie jest, niż między dwoma rewolucjonistami, z których jeden jest posłem, a drugi nie.

*) Pisane w 1914 r.

II.

Jak zostaje się posłem.

Posłem zostaje każdy, jak może. Najprostszą rzeczą jest oczywiście mieć ojca, który jest posłem. Wielu poprzestawało na tem, że mieli teścia posła. A bywało i tak, że ci teściowie nie zawsze sami byli posłami.

Można do tego stanowiska dojść również przez przemysł, zarząd przedsiębiorstwa, własność ziemską, jak to uczynił nieboszczyk p. Constant, lub nawet drogą „pantoflową”, jak niegdyś Marja Reynaud.

Lecz najprościej, bezwątpienia, wspinać się po szczeblach hierarchji.

Byleście tylko posiadali w jakiejś małej gminie dość popularności, aby zostać radnym, — drogę już macie otwartą. Rada Powiatowa, potem Rada Generalna, będą na niej etapami.

Łoże masońskie, komitety wyborcze i towarzystwa gimnastyczne mogą też doprowadzić, nawet o wiele szybciej, do tego samego celu; tak samo medycyna, biura ministerjalne, adwokatu-

ra, dobroczynność i aptekarstwo. Jednak zawody te lepiej wykonywać na prowincji.

*

*

*

Żeby być posłem, niekoniecznie trzeba być uczciwym człowiekiem. Aby nim zostać, dobrze jest bądź co bądź, mieć przeszłość uczciwego człowieka.

Znana jest powszechnie surowość zasad prowincji. Jeśli się zdarzy, że ujawni się jakaś ambicja wyborcza, ewentualny kandydat otoczony zostanie natychmiast powszechną ciekawością i podejrzliwością. Niemasz kroku, któryby uszedł uwagi; każda jego znajomość, każde jego przyzwyczajenie jest śledzone; w tych warunkach obłuda staje się niemożliwa. Kandydat musi być niemal porządnym człowiekiem.

Wiem oczywiście, że są wyjątki: Paryż i wielkie miasta mają swoje obyczaje wyborcze; Południe powoduje się entuzjazmem; prowincje górskie — licznymi potrzebami, kolonje zaś starają się przypodobać.

Poniżej 47° szerokości geograficznej awanturnicy cieszą się specjalną pobłażliwością. Powyżej 1000 m nad poziom morza, ludzie mają szacunek dla majątku. Dla mieszkańców gór, na ogół biednych, wybór jest nadprogramową korzyścią, a każdy głos wart jest tyle, co papier giełdowy. Alpy, Pireneje i Masyw Centralny są błogosławioną ojczyzną kandydatów - milionerów.

Mimo wszystko rzadkością jest kandydat, który nie jest autochtonem. W większości okręgów kandydat jest znany od najwcześniejszego dzieciństwa. Wybaczą mu tam napewno brak uzdolnień, wymowy, jakiejkolwiek kompetencji, a nawet programu, ale wymagać odeń będą niezmiennych przyzwyczajęń, rozważań w sprawach moralnych i poszanowania terminów.

Mandat poselski jest przy pierwszej elekcji niemal świadectwem moralności.

III.

Jak zachować mandat.

Gdy już się jest posłem, należy troszczyć się tylko o jedno: by nim pozostać.

Trudności zmieniają się zależnie od okręgów wyborczych. W pewnych dzielnicach wystarcza mieć mandat, by go zachować.

Ten już obrósł w pierze — mawiają wyborcy kilku oddalonych prowincyj — a nowego trzeba by znów tuczyć.

Nie jestem pewien, czy nie jest to, gdy chodzi o głosowanie powszechne, ostatnie słowo mądrości.

Gdzieindziej, przeciwnie, lubią nowe twarze. Tam to właśnie najtrudniej jest się utrzymać.

Dla utrzymania się na stanowisku istnieje tylko jedna istotna zasada: stale o tem myśleć. Poseł, który „stale o tem myśli”, musi wobec tego podzielić swój czas pomiędzy trzy zasadnicze zajęcia: musi biegać, obiecywać, pisać.

Jeśli jego zabiegi są bez rezultatu, jeśli jego obietnice są zawsze próżne i jeśli jego listy nie przynoszą nigdy nic konkretnego, to wszystko to ma tylko względną wagę. Wyborcy, który o coś prosi, niezawsze nawet zależy na tem, aby spełnić jego prośbę.

Chodzi mu: 1-o o pokazanie swego znaczenia; 2-o o otrzymywanie listów.

Dobry poseł, który otrzyma list od wyborcy, powinien natychmiast napisać trzy.

Jeden do władzy właściwej, celem przekazania prośby interesanta.

Drugi do interesanta, aby go zawiadomić, że przekazał jego prośbę.

Trzeci do tegoż interesanta, aby go zaznaczyć z odpowiedzią właściwej władzy.

Posłowie, którzy otrzymują po czterdzieści listów dziennie od swych wyborców, nie należą do wyjątków.

Parlament nie panuje, nie rządzi: Parlament pisze. Ustrojem dominującym w naszym życiu nie jest ani Republika, ani Cesarstwo, ani Królestwo, ani Autokracja, ani Demokracja — jest nim Pismokracja *).

*) W oryginale „La Correspondance”.

IV.

Jak zostaje się przyjętym do grona posłów.

Skoro dotarło się już do Pałacu Burbońskiego i rozpoczęło starania, aby się tam zadowoić na czas możliwie najdłuższy, trzeba z kolei zdobyć sobie pozycję wśród kolegów.

W tej atmosferze, naogół serdecznej, nowy przybysz nie będzie przyjęty tak dobrze, jakby mógł mieć nadzieję. Spotka się tu, jak w szkole, z arogancją „dawnych”. Będą się wysilać, aby go onieśmielić. Nieraz wezmą go na fundusz i zakażą mu np., systematycznie należenia do wszystkich komisyj, w których praca przedstawia jakiś interes. Z początku trzeba będzie okazać się dyskretnym, mało mówić w kuluarach, nigdy z mównicy i zajmować się jedynie zawieraniem znajomości ze wszystkimi kolegami.

Jeśli poseł jest naiwny, szukać będzie w kuluarach i poczekalniach towarzyszy, których mógł sobie życzyć, i stronnictwa, do którego, jak mnie-

mał, należy. Jeżeli jest inteligentny — zrezygnuje bardzo szybko z poszukiwania ich.

Pozostanie mu wówczas zapisanie się do jakiejś grupy.

Dlaczego ktoś zapisuje się raczej do tej grupy, a nie innej? Decydują tu tylko nazwy i przypadkowe okoliczności.

Nowowybrany może zapisać się na miejsce, które zajmował jego poprzednik. Jeszcze lepiej uczyni, wybierając grupę liczącą według niego najmniej posłów, którzy mieliby szanse zostać ministrami. Ten system inkorporacji jest prawdopodobnie najkorzystniejszy.

Najczęściej jednak inny, silniejszy motyw będzie go skłaniał do decyzji: przypadkowe spotkania. Pierwszy z jego kolegów, który pokaże mu drogę do bufetu, będzie mógł wywrzeć znaczny wpływ na jego przyszłość. Pierwsza wybitna osobistość, z którą się zapozna, może go do siebie przywiązać na całe życie.

Nauczy się on szanować jednego posła za jego wpływy, drugiego za majątek, a trzeciego za dobry humor. Ten jest przywódcą walk politycznych, tamten przeciwnik czarującym człowiekiem, ten znów zawsze gotów do oddania przysługi, a jeszcze inny posiada piękne tereny myśliwskie. Zdarzają się wprawdzie szubrawcy, lecz dosyć rzadko i są nader uprzejmi. Wszyscy znają ich łajdactwa, lecz są to najczęściej weterani wielkich wojen, przyjaciele zmarłych wielkich ludzi; z tego to powodu lubi się ich bardzo, a nawet trochę poważa. Nowy przybysz z kolei będzie

zabiegał o ich głos i nie będzie już umiał odmówić im swego.

Wreszcie będzie czytać codzień kilka dzienników, nieznanych szerszej publiczności, a oddanych bezpłatnie do rozporządzenia parlamentarzystów; gdyż parlamentarzyści mają też swoje dzienniki, inne niż te, które czyta ludność.

Po pewnym czasie poseł straci ostatecznie kontakt z opinią ogółu i chęć do walki. Stanie się naprawdę „parlamentarzystą”.

V.

Jak sobie zdobyć pozycję.

Gdy już się zostało przyjętym do ogólnego grona kolegów parlamentarnych, oraz jakiegoś ściślejszego ugrupowania, istotnem zagadnieniem staje się wywalczyć sobie odpowiednią pozycję. I nie jest to nawet taka trudna sprawa, jakby można sądzić: wystarczy być gorliwym i skromnym. Nie jest bezwzględnie zakazane mieć jakiś talent. Lecz wówczas trzeba go starannie ukrywać.

Wszyscy posłowie, którzy od pierwszego roku swego wejścia do Pałacu Burbońskiego pchali się na mównicę pod błahym pozorem, że mają coś do powiedzenia, narazili się na zupełną utratę poważania.

Podczas pierwszego roku swej kariery ustawodawczej poseł winien milczeć. W czasie lat następnych wolno mu występować jedynie w kwestiach specjalnych. Na politykę ogólną będzie mógł sobie pozwolić dopiero znacznie później.

*

*

*

Specjalizacja gra wielką rolę w karierze zręcznego parlamentarzysty. Specjalności zresztą różniczkują się i rozdrabniają z dnia na dzień. Niegdyś parlamentarzysta był specjalistą od spraw wojskowych lub skarbowych, morskich lub kolonialnych. Dziś specjalności znacznie się zwężyły.

Ten poseł zabiera głos wyłącznie w sprawach Drukarni Narodowej, tamten mówi o wytyczeniu granic departamentu Gironde; innego nie interesuje nic poza losem pańienek z urzędu telefonicznego, a jeszcze inny zajmuje się tylko sprawą remontów; wymieniano posła, który interwenjował jedynie w sprawach dotyczących higieny koszar i sal widowiskowych; inny poświęcił swe życie zagadnieniom rozwoju wędkarstwa.

Oto dwóch wielkich parlamentarzystów: jeden zawdzięcza swą świetną karierę towarzystwom gimnastycznym i burakom cukrowym. Drugi przeciwnie, zajmawszy się w swych wystąpieniach kwestjami polityki ogólnej, zmuszony był, ni mniej ni więcej, do radykalnej zmiany stronnictwa, aby koledzy zgodzili się go słuchać następnym razem. Musiał w dodatku, aby wejść do tego nowego stronnictwa, poświęcić dwa przemówienia zwalczaniu opinji pierwszego o burakach cukrowych.

VI.

Jak się zostaje wybitnym posłem.

Powiedzieliśmy, że młodemu posłowi wolno w pewnych wypadkach mieć jakiś talent; pod warunkiem, że nikt nie będzie o tem wiedział. Z tem samem zastrzeżeniem może on żywić jakąś ambicję, choć jest to sprawa nadzwyczajnie ryzykowna.

Wiemy naturalnie, że zdarzali się ministrowie trzydziestopięcioletni i nawet nie byli najgorsi. Najczęściej płacili za swą sławę niepopularnością. Wspaniała ich karjera razi. Milej widziani są tacy, którzy umieją się zadawałniać skromnym dorobkiem umysłowym.

Parlamentarzyści są podobni do p. Perrihon: kochają tych, którym służą. Przedewszystkiem zaś kochają tych, którzy ich poważają, lub chociaż to udają. Do jakichże poświęceń nie będzie zdolny poseł, który przyjechał przed sześciu tygodniami z maleńkiej miejsciny prowincjonalnej i już może powiedzieć:

— Przewodniczącemu komisji budżetowej za-
leżało bezwzględnie na mej opinii w sprawie
ustaw o nawozach.

Albo inny, gdy będzie mógł opowiadać:

— Ten dawny Minister Spraw Zagranicz-
nych powierzył mi kiedyś decyzję co do naszej
akcji w Addis-Abeba.

Może być wówczas pewny osiągnięcia tak
wielkiego poważania w kawiarniach swego mia-
steczka, że pozostanie za nie wdzięczny przez ca-
łe życie.

*

*

*

Talent, wartość osobista, odwaga, są to nie-
wątpliwie przymioty, na które nasi parlamenta-
rzyści niezawsze są nieczuli; ale jest pewna rzecz,
co do której są wrażliwi ponad wszystko: życzli-
wość i uprzejmość.

Ci biedni ludzie, zniesławiani na zebraniach
publicznych, codziennie niemal znieważani, każdy
z osobna w pismach prowincjonalnych i zbioro-
wo — w pismach paryskich, traktowani jak pa-
namiści, sprzedawczycy, spragnieni są jedynie
poważania.

Zwalczani stale przez współzawodników, po-
niewierani przez wyborców, traktowani niedbale
przez ministrów, pogardzani przez woźnych i znie-
ważani na każdym kroku, czują się zobowiązani
do najgłębszej wdzięczności każdemu, kto, nie bę-
dąc urzędnikiem lub petentem, odzywa się jed-
nak do nich grzecznie. Gdy od dłuższego czasu

doznaje się szacunku tylko od podprefektów lub kandydatów do „Palm Akademickich” — staje się, bądź co bądź, wielką satysfakcją przebywanie w towarzystwie człowieka z pozycją, który przemawia uprzejmie.

Tem tłumaczy się popularność i powodzenie polityczne pewnych wybitnych parlamentarzystów, którzy przez szczególny zbieg okoliczności niezawsze byli tego niegodni. Pospieszamy dodać, że gdyby nawet byli niegodni, to ich stanowisko w parlamencie prawdopodobnie stałoby się jeszcze poważniejsze.

*

*

*

Rozumie się, że parlamentarzyści wyżej cenią tych, którzy im rzeczywiście zawdzięczają wszystko, od tych którzy robią tylko wysiłki, aby stworzyć tego pozory. Bo niczem nie da się zaćmić sława męża stanu, sława związana ściśle z zajmowaniem przezeń stanowiskiem.

Rzecz prosta, że ci, którzy nic nie zdziałali, nie mogli byli tembardziej zapewnić sobie losu. Nie mają oni egzystencji samodzielnej i są jedynie emanacją Parlamentu. Parlament zaś, dumny, że stworzył sam własną mocą wielkiego człowieka, wyróżnia go ze szkodą wszystkich innych.

Gambetta był ministrem niecałe sześć miesięcy. Nie mamy zamiaru przypominać sobie nazwisk tych wszystkich, którzy byli ministrami znacznie dłużej.

VII.

O postawie zawodowej.

Tak oto wyglądają parlamentarzyści, naogół dzielni ludzie, których jednak wypacza wykonywanie ich zniesławionego zawodu.

Bo niema się co łudzić: stanowisko posła, to nie posłannictwo, to zawód, zawód, który ma swe zwyczaje i metody, instytucje, szczeble kariery i niemal hierarchję. Nie trzeba tam wielkich cnót obywatelskich; trzeba natomiast porządku, zręczności i umiejętności brania się do rzeczy.

Minęły już te czasy, gdy poświęcano na życie dwadzieścia pięć franków. Dziś za czterdzieści kilka franków można już żyć, coprawda zwykle dość kiepsko, zwłaszcza, jeśli się ma choć trochę poważniejszych obowiązków w swym okręgu, czy też w rodzinie.

Obiera się ten zawód, jak obrałoby się każdy inny, dlatego, że woli się go od innych, lub prościej, że się nie ma do niczego innego uzdolnienia. Nie jest to wcale poniżające i zawód ten,

tak jak każdy inny, może być wykonywany zaszczepnie.

Lecz to wszystko, co da się o nim powiedzieć, a posłowie, którzy odgrywają rolę kapłanów, narażają się na śmieszność. W rzeczywistości jest się przedstawicielem społeczeństwa tak, jak bywa się przedstawicielem handlowym; często jest to mniej trudne, lecz niezawsze bywa bardziej zyskowne; czy mówi się w imieniu demokracji (ład i postęp), czy też w imieniu firmy Tartempion (wino i napoje wysokowe), najważniejszą rzeczą jest mieć klientelę, obowiązkiem zaś jaknajmniej ją oszukiwać.

Między parlamentarzystami, którzy rozmawiają o swych okręgach, a urzędnikami, którzy mówią o swych posadach, niema istotnej różnicy. Poseł zadowolony jest ze swych wyborców z tych samych powodów, z jakich urzędnik — ze swego szefa: gdy nie są zbyt wymagający, nudni, pedantyczni, a przede wszystkim gdy nie lubią widzieć koło siebie nowych twarzy.

Parlamentarzysta, który boi się niepowodzenia, nie poprzestaje na powiedzeniu sobie:

— To będzie ustępstwo od mych zasad.

Powiada sobie przede wszystkim:

— Co będę robił, wróciwszy do życia prywatnego?

Większość obawia się utraty swych djet. Innym zależy na tem środowisku, sympatycznym, dogodnym, przodującym i pełnem znaczenia zarazem, jakim jest Pałac Burboński. Wielu przeraża myśl o powrocie do życia na prowincji. A je-

śli nawet żadnemu z nich nie jest obojętna myśl o porażce, jakiejby z tego powodu doznała jego partja, to nie jest to bynajmniej najpoważniejsza ich troska.

*
*
*

W epoce, w której walka o życie zajmuje tyle miejsca, taki sposób myślenia nie powinien nikogo dziwić. Sami wyborcy pojmują dobrze tę konieczność; często nawet kierują się nią łaskawie w chwili głosowania. Mało kto zdecydowałby się nie oddać głosu lekarzowi, który poświęcił swoją klientelę dla polityki. Pozostawia się zwykle starcom ich fotele nawet wówczas, gdy staną się już zupełnie nieudolni do sprawowania swych funkcyj. Uważanoby za nietakt głosowanie przeciw takiemu posłowi, który, odsunięty już od wszelkich spraw publicznych, pędzi życie zdala od Pałacu Burbońskiego w zaciszu jakiegoś sanatorium. Kandydat, dotknięty w czasie wyborów jakimś nieszczęściem lub żałobą, może mieć nadzieję, że otrzyma dzięki temu poważną nadwyżkę głosów. Głosowanie powszechne jest być może niewdzięczne, lecz w każdym razie jest litościwe.

W ten sposób występuje dobitniej charakter zawodowy tego „posłannictwa”.

Posel przestaje być w pojęciu wyborcy mandatarjuszem, ażeby się stać dłużnikiem. Nie reprezentuje już programu politycznego, lecz tylko związki przyjaźni. Nie ma on wskutek tego mniej obowiązków względem swej partji, lecz napewno więcej wobec swych mocodawców.

Przysługa za przysługę — głosi powszechna opinia.

Nie głosowano jednak na danego kandydata, izby przysłużyć się jego sprawie, lecz by go sobie zobowiązać. Wypada, aby okazał się wdzięczny.

Wyborca uważa za naturalne, że ten, którego on zrobi posłem, zdobędzie mu wzamian „Palmy Akademickie”. Nie wydałoby mu się nawet dziwne, gdyby jego elekt czynił w tej sprawie bardzo daleko idące wysiłki.

*
* *

Cierpi na tem wszystkim godność reprezentacji narodowej. Cierpi po stoicku i nie skarży się.

Wyborca, składając swój głos do urny, nie ma już obecnie poczucia, że powierza sprawowanie najwyższej władzy, z której jest tak dumny, w ręce obywatela, godnego tego zaszczytu. Trochę się tylko, aby przekazać specjaliście trud załatwiania spraw, którymi sam zająć się nie może.

Posła wybiera się tak samo, jak adwokata, ponieważ nie zna się procedury, a nawet staranniej wybiera się adwokata, któremu powierza się zawiadywanie sprawami, bezpośrednio nas dotyczącymi.

Ze swej strony elekt, nie mając najczęściej ścisłych poleceń, próbuje wywiązać się z zadania jaknajlepiej, albowiem jest zmuszony po czterech latach złożyć rachunki ze swej działalności.

Mamy przed oczyma list otwarty, w którym poseł jakiegoś prostodusznego i dalekiego okręgu przedstawia naiwnie swym wyborcom taki pogląd:

„Nie zrobiłem majątku na polityce i było nawet wielką ofiarą dla mnie porzucić lukratywny zawód i poświęcić wszystkie swe siły i wszystkie swój czas na spełnianie mych obowiązków ustawodawcy.

„Jeśli nie jesteście ze mnie zadowoleni, powiedzcie mi to, proszę, bez ogródek i niezwłocznie. Troska o moje sprawy rodzinne i godność osobistą zmusza mnie do powzięcia już w lipcu ¹⁾ decyzji, jakich wymagać będą okoliczności”.

Postarajmy się ocenić jak należy to wyznaczenie, niepozbawione zręczności:

— Ponieważ muszę zarabiać na życie, zabiegam o stanowisko posła. Jeżeli moje usługi nie wystarczają wam, poszukam sobie innego miejsca, lecz zlitujcie się, uprzedźcie mnie wcześniej, zachowajcie termin wypowiedzenia. Dlaczego między tymi wszystkimi, których naród zatrudnia, tylko parlamentarzysta miałby być pozbawiony wynagrodzenia „za nagłą odprawę ze służby”?

Nie znajdujemy wprost słów na wyrażenie, jak słuszny wydaje nam się ten pogląd. Trzeba wreszcie pogodzić się z tą myślą: poseł nie jest wcieleniem narodu, lecz załatwia poprostu własne sprawy.

¹⁾ Mniej więcej na dziewięć miesięcy przed wyborami.

C z ę ś ć d r u g a.

RZEMIOSŁO.

I.

Kontrola parlamentarna.

Poseł, spędziwszy ranek na bieganinie po gabinetach ministerjalnych, poświęca popołudnie kontrolowaniu postępowania ministrów.

Przez pół dnia domaga się przysług; przez drugie pół żąda rękojmi. Jeśli otrzymał ich wiele, nie żąda przez to mniej przysług, gdy jednak wiele jego żądań zostanie spełnionych, okaże się nieco mniej wymagający, co się tyczy rękojmi — co ludzką bardzo jest rzeczą.

Parlamentarzysta, któremu minister oddał jakąś przysługę, ma naturalną tendencję, by go uważać za swego przyjaciela politycznego; uważając go jednak za przyjaciela, tem częściej domaga się różnych przysług. To złożone prawo stanowi podstawę kontroli parlamentarnej.

W swoim czasie kierownicy urzędów posiadali roczniki Parlamentu, w których posłowie i senatorowie byli zaznaczeni według zabarwienia politycznego. Odpowiadano na petycje tych, których nazwiska były podkreślone linią czerwoną; nigdy zaś na petycje podkreślonych barwą niebieską. Nazwiska niektórych oznaczano krzyżykiem czerwono-niebieskim. Tym odpowiadano na co drugi list. Albo się robi politykę, albo nie¹⁾.

Lecz było to postępowanie okrutne, naiwne i brutalne zarazem. A poza tem, powiedzcie sami, poco jednać sobie ludzi, w których i tak ma się zwolenników. Wzięto się na sposób bardziej nowoczesny: spełniając w dalszym ciągu żądania „swoich ludzi”, jeszcze chętniej idzie się na rękę tym, których pragnie się skaptować. Opozycja dopuszczona jest na tych samych prawach, co większość, do przedsięwzięcia zabiegów u ministrów.

Nazwano to systemem „uspokojenia”.

*

*

*

Naturalnie wszelkie interwencje są pełne najszczerzej serdeczności. Minister, zanim zdobył swe stanowisko, był posłem. Oto więc kolega przyjmuje kolegów, z którymi najczęściej jest „na ty”.

¹⁾ W czasach, o których mowa, p. Poincaré był w opozycji i nazwisko jego było podkreślone podwójną linią niebieską. Jednak na marginesie zanotowano: „odpisywać”. Dobre i to.

Stąd zrozumiałe stają się wielkie rozgrywki parlamentarne, a zwłaszcza zabawa w interpelacje. Publiczność wyobraża sobie chętnie, że gdy dany poseł sądzi, iż jego obowiązkiem jest zdyskredytować jakieś posunięcie rządu, wchodzi na trybunę, ożywiony świętym oburzeniem, i interpeluje natychmiast właściwego ministra w sprawie, która go poruszyła.

W rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej: skoro jakiś skandal wybuchnie tak, że nie da się już go utrzymać w tajemnicy, posłowie decydują się na interpelację. Zwykle zabiera głos w tej samej sprawie kilku interpelantów: jeden występuje ze strony rządu (jest to przeważnie sprawozdawca budżetowy danego ministerstwa); wygłasza on zwykle dwie mowy: jedną, aby dać wyraz zaniepokojeniu, które wzbudziła w publiczności sprawa, będąca przedmiotem jego interpelacji; drugą dla stwierdzenia, że najmniejszy nawet ślad niepokoju zniknął zupełnie po wyjaśnieniu pana ministra.

Lecz obok tego interpelanta, który odgrywa rolę tak zwanego (w mniej dystygowanych środowiskach) „kuma”, występuje jeszcze interpelant z opozycji, który „działa na serjo”.

I on zresztą również stara się być względny. Z początku atakuje ministra ustnie, potem listownie. Oto typ dialogu, który rozwija się najczęściej.

Poseł opozycji spotyka ministra w kuluarach Izby:

— Powiedz mi, mój stary, co to za historia z tą dymisją Chicurel’a? Co za świństwo zrobił no mu w twojem ministerstwie?

— Głupstwo — odpowiada minister — nie mamy sobie nic do wyrzucenia w tej sprawie. Wprowadzono cię w błąd, ten Chicurel to zwykły łajdak.

— Chicurel to bardzo porządny człowiek — odpowiada interpelant, — a ja obiecałem mu pomóc w jego sprawie. Zresztą tu chodzi o zasadę. Daj mu jakąś rekompensatę.

— Nigdy w życiu!

— Okaż choć dobre chęci.

— Idź do diabła!

— Ach tak — odpowiada poseł — dobra! Zobaczymy. Zainterpeluję cię. To będzie bardzo zabawne.

Natychmiast siada przy jednym z biurek, których tam jest pełno, i pisze z całą powagą:

„Panie Ministrze!

Mam zaszczyt zakomunikować Panu, że na posiedzeniu dnia będę Pana interpelował w sprawie p. Chicurel'a, który

Raczy Pan przyjąć, Panie Ministrze, zapewnienia głębokiego szacunku”.

*

*

*

Ten rodzaj interpelacji staje się coraz rzadszy, a nawet zwolna zanika. Najczęściej zainteresowany minister żąda odesłania interpelacji do porządku dziennego, to znaczy na kilka miesięcy. Wówczas według wszelkiego prawdopodobieństwa rząd będzie obalony już od dłuższego czasu. In-

terpelacja zostanie oczywiście cofnięta i wszystko będzie w porządku.

Z interpelacjami, jak wyraził się pewien dowcipniś, bywa tak, jak z pojedynkami: najczęściej nie dochodzą do skutku.

Niewątpliwie znajdzie się od czasu do czasu jakiś młody człowiek, świeżo przybyły ze swego okręgu, pełen złudzeń, który rzuca się do bardziej gwałtownego i bezpośredniego ataku. Wobec powszechnej dezaprobaty szybko tego jednak pożałuje i wiele trudu będzie musiał sobie zadać, aby uzyskać przebaczenie nie tylko obrażonego, lecz i wszystkich kolegów.

Można wskazać najwyżej trzech lub czterech posłów ze skrajnej prawicy i lewicy, którzy nigdy nie chcieli zrozumieć tych „reguł gry”. Lecz nawet ich przyjaciele polityczni niechętnie podają im rękę.

*

*

*

Czyżby to znaczyło, że posłowie zaniedbują krytyki swoich kolegów? Nie podobnego! Lecz krytykują ich intymnie i tylko w tonie poufnym.

Nigdzie nie rozpowszechnia się tytuł anegdotek, co w kularach Pałacu Burbońskiego. Tyczą się one zawsze kolegów i są najczęściej skandaliczne. Przestrzega się jednak, iżby te historyjki nie wychodziły poza gmach Parlamentu. Jeśli nawet dopuszcza się czasem dziennikarzy, adheren-

tów lub innych bywalców kuluarowych do tej małej giełdy obmowy, to jednak istnieje ogólne porozumienie, żeby nie robić z tego żadnego użytku.

Ponad wszystkimi klikami partyjnymi i waśniami ludzkimi panuje niezłomna zasada: Nie kalać własnego gniazda i nie szkodzić sobie wzajemnie.

Między kolegami mogą być spory, lecz nie powinno być nienawiści. Można się nawet bić między sobą, lecz nie należy czynić sobie krzywdy. W największym gniewie nie wolno zapominać, że ma się do czynienia z kolegą. Nawet gdy dyskusja przestaje być kurtuazyjna, powinna jednak pozostać koleżeńska.

Okoliczności, które dziś was skłaniają do walki, miną i, rzecz to znana, jutro już możecie się wzajemnie potrzebować; pocóż więc wymawiać słowa, którychby nie można było zapomnieć¹⁾.

¹⁾ Rzecz godna uwagi, że gdy dwie wrogie armje pragną zakończyć walkę, oficerowie, których wysyłają, przyjmują całkiem naturalnie, nazwę „parlamentarzy”.

II.

O partjach i programach.

Jednak — powiecie — są chyba partje polityczne zorganizowane, z określonymi programami, ze ścisłą kontrolą, a od czasu do czasu z komisjami dyscyplinarnymi. Gdy jakaś partja powstaje we Francji — a to zjawisko jest jeszcze dość częste — zaczyna od ogłoszenia manifestu, gdzie precyzuje swe zapatrywania, co do których nie wejdzie w żadne układy. Zawiazuje się komitety, które będą gorliwymi stróżami tej doktryny, co-rocennie zaś kongresy orzekają, czy posłowie partji zachowywali się dość ortodoksyjnie.

W rzeczywistości dzieje się tak tylko w partji socjalistów zjednoczonych. Zasady są tam bardzo sztywne, a t. zw. „czystki” stosuje się regularnie. Lecz niczego podobnego nie spotyka się w innych partjach. Radykałowie socjalni radzi-
by się upodobnić do „zjednoczonych”, lecz nie mają jeszcze dość doświadczenia; „komitetowi wykonawczemu” z ulicy Walezjuszów” *) nie udało

*) Mieści się tam siedziba Partji Radykalnej.

się zgrupować wszystkich posłów z partji, a stali delegaci mają tylko nieznaczny wpływ na swoich elektów; zalecenia, które kierują do nich od czasu do czasu, przeważnie uwieńczone są słabym sukcesem.

Nie słyszano nigdy, iżby „Zjednoczenie Demokratyczne” rzuciło klątwę na kogokolwiek, nawet na tych, którzy się go wypierają; „Akcja Liberalna” zaś jest przede wszystkim biurem pomocy dla kandydatów najrozmaitszych, często bardzo się różniących odcieni.

*
* *

Niewątpliwie obstaje się, prawdopodobnie wskutek przestarzałych pojęć, przy tem, aby posiadać programy polityczne, lecz rzadko dba się o ich realizację.

Ileż to parlamentów od powstania Republiki uchwalało olbrzymią większością podatek dochodowy. Zasadę reformy wyborczej przyjmowano w głosowaniu niemal jednomyślnie. Reformę administracyjną przyrzekało solennie więcej niż czterystu posłów przeszło sześciu milionom wyborców. I cóż się stało z ową reformą administracyjną, z reformą wyborczą i z podatkiem dochodowym?

A dzieje się tak dlatego, że programy nie są tworzone z myślą o realizacji. Zasady burżuazji republikańskiej datują się od roku 1789. Socjalizm Marksa pochodzi z roku 1848. Program ra-

dykalny powstał w roku 1869. Możecie być pewni, że będą one służyć jeszcze długi czas. Walka między temi różnorodnemi koncepcjami z wszelką pewnością już nie będzie wznowiona, a nazywa się to: „nowoczesną polityką”.

Program wykonany traci rację bytu, a skoro było się wiernym jakimś ideom przez pół wieku, to czyż nie jest przykre i niebezpieczne poszukiwać nowych? Trzeba zmienić sferę zainteresowań, naruszyć jednolitość metody; krótko mówiąc, trzeba prawie zdradzić.

Z chwilą, gdy antyklerykalizm partji radykalnej przybrał postać praw pisanych, waha się ona co dalszych swych dróg, nie umie sobie stworzyć dalszych celów i nie wie właściwie, kto pozostał jej wierny. Prostu przeżywa kryzys.

Stagnacja jest najprawdopodobniej jedyną praktyczną formą wierności zasadom.

*

*

*

Zresztą mieć program, to jeszcze nie wszystko. Trudności zaczynają się dopiero, gdy chce się mu służyć.

To drobiazg: zasada; okoliczności — to grunt. Czyż nie był najznakomitszym z republikan ten, który wynalazł słowo „oportunizm”?

Niemal wszystkie ważne ustawy były podawane pod obrady Parlamentu przez ministrów, którzy w nie nie wierzyli, a nawet deklarowali się jako zdecydowani ich przeciwnicy.

Przeczytajcie zwierzenia Waldeck-Rousseau. Oto, co tam zobaczycie: przeprowadziwszy przed Sądem Najwyższym oskarżenie o spisek, którego istnienia nie był dość pewny, przeforsował zasiłki dla robotników, po których niczego się nie spodziewał, i podatek dochodowy, którego się wręcz obawiał.

„Byliśmy zmuszeni — pisał — przyjąć jako zasadę ważniejszą ponad wszystko, konieczność utrzymania się przy władzy. Musieliśmy uczynić zasadnicze ustępstwa, dokładając wszelkich starań, aby ich nie wprowadzić w życie. Pewnego dnia dla uniknięcia upadku, którym nam groziła interpelacja Klotz'a i Magniaudé'a, musieliśmy przedstawić projekt podatku dochodowego; innym razem trzeba było współdziałać w sprawie zasiłków dla robotników. Nie można ani wprowadzić podatku od dochodów, ani zrealizować obecnie projektu zasiłków w takiej postaci, w jakiej go uchwalono...”

Pewien prezes Rady Ministrów, który nie wierzył w możliwość rozdziału Kościoła i Państwa, doprowadził do sytuacji, w której nie dało się go uniknąć. Podpisał zaś tę ustawę inny premier, który jej nigdy nie chciał.

Większość radykałów, którzy dziś są senatorami, walczyła niegdyś o zniesienie Senatu, a wielu obecnych posłów kolonjalnych wypowiadało się w czasach swej młodości przeciw reprezentacji kolonjalnej.

Senat, składający się z samych prawie przeciwników skupu „Kolei Zachodniej” oraz podat-

ku dochodowego, uchwalił właśnie ów skup „Kolei” i uchwali niewątpliwie również podatek dochodowy.

Prezydent Grévy rozpoczął swą karierę polityczną, występując z projektem zniesienia urzędu prezydenta.

Przytaczamy tu tylko przykłady, że tak powiem, najszanowniejsze. Lecz ile moglibyśmy wymienić innych działań wbrew przekonaniu, innych sprzeczności, które dzięki upływowi czasu i powodzeniu, stały się godnymi szacunku.

I ostatecznie stawiamy sobie pytanie, czy ten rodzaj przeobrażeń nie jest istotnem prawem obecnego ustroju parlamentarnego.

— Zarzucają temu ex-socjaliście rewolucyjnemu, że skłania się ku prawicy — powiedział pewien prezes Stronnictwa Radykalnego, syn ministra z czasów „16 maja” — lecz musi on skłaniać się ku prawicy tak, jak ja jestem zmuszony skłaniać się ku lewicy. To wina naszego pochodzenia.

Konieczności życia rozbijają dogmaty — mawiał jeszcze p. Briand w Saint-Etienne.

Bolesna to krytyka... Zwierzenie wzruszające.

*

*

*

Nie należy zbyt wiele się spodziewać po programach i partjach, lecz trzeba je brać w rachubę.

Przekonamy się, że jedne i drugie będą jeszcze długo istniały, i jeśli nawet nie są to zawsze

te same partje o tych samych programach, to, wzięwszy ogólnie, nie ma to większego znaczenia i łatwo da się wytłumaczyć: idee są wieczne, a ludzie żyją w pośpiechu.

Oto dlaczego właśnie nasza Republika pozostaje tak niezmienna w swej istocie po każdym przeżytym kryzysie i każdym odniesionem zwycięstwie. Miota się ona w próżni i nie może ani zwyciężyć, ani być zwyciężona. Za każdym razem triumfuje tylko sama nad sobą.

Zwycięstwa odniesione nad sobą są ponoć najpiękniejsze, — lecz z pewnością najmniej korzystne.

III.

Ugrupowania.

W Izbie Deputowanych niema partyj, lecz ugrupowania.

Są one bardzo liczne i różnią się zasadniczo nazwami. Byłoby błędem nie do darowania mylić grupę radykalną i radykalno-socjalistyczną, Lewicę Demokratyczną i Unję Republikańską, Akcję Liberalną i postępowców, republikan socjalistycznych i socjalistów zjednoczonych.

Wszystkie te ugrupowania mają rzeczywiście różne interesy i sprzeczne ambicje. Różnice, istniejące między niemi, tem są trudniejsze do usunięcia, im mniej są uchwytnie. Gdy przywódcy tych grup zostaną ministrami, uczą się szybko rządzić w zgodzie, lecz póki są tylko zwykłymi posłami, udają, iż wierzą, że dzielą ich różnice głębokie.

Czy członkowie tej samej grupy muszą razem głosować? Bynajmniej. Nie można wskazać żadnego głosowania, w któremby nie zaznaczyły się jaskrawe różnice indywidualne. To nawet po-

woduje dziwaczne sprostowania głosowań, z któremi czasem rząd musi się liczyć, czasem zaś może je śmiało lekceważyć. Lecz z punktu widzenia jednolitości grup różnice te pozbawione są wszelkiego znaczenia; choćby były najsilniejsze i występowały systematycznie, spistość grupy nie będzie przez to nigdy narażona.

Dany poseł może jak najregularniej w świecie głosować z socjalistami zjednoczonymi, przez co bynajmniej nie przestanie być jednym z filarów radykalizmu. Inny, choćby z wielkim zapalem popierał rząd, pozostanie jednak wypróbowanym przywódcą opozycji.

*

*

*

I to dowodzi raz jeszcze, że podstawą grup parlamentarnych nie jest porozumienie polityczne, lecz umowy prywatne.

Zazwyczaj poseł nie zapisuje się do grupy, aby dać rękojmię kilku spóźnionym doktrynerom, lecz aby wzbudzić zaufanie wymagających wyborców. Nie zaszkodzi nawet posłowi, gdy, głosując pilnie z prawicą, zapisze się do grupy bardziej postępowej. Może się wówczas spodziewać, że zadowolni wszystkich.

Przedewszystkiem jednak zapisuje się do grupy, aby zapewnić sobie udział w komisjach, no i mieć choćby najmniejszą rolę w życiu parlamentem. Jeśli trzebaby tej prawdy dowodzić, to wystarczyłoby przytoczyć paradoksalny fakt ist-

nienia „grupy posłów niestowarzyszonych”, która skupia ludzi różnych odcieni i utworzyła nawet specjalne biuro. Celem tego biura nie jest oczywiście przeprowadzenie jakiegoś programu politycznego; jest nim poprostu obrona interesów parlamentarnych jego adherentów.

Dobrze jest niewątpliwie dawać gwarancję swym wyborcom, lecz jeszcze lepiej ochraniać własne przywileje. Otóż grupy zapewniają nie tylko miejsca w komisjach; czasem zapewniają również fotele ministerjalne.

Przyjął się istotnie stały zwyczaj, że mąż stanu, któremu polecono sformowanie rządu, dobiera sobie z pośród grup, należących do większości, jednego lub więcej współpracowników. Procedura pozostaje ta sama bez względu na poglądy premjera i podział dokonuje się prawie zawsze na takich samych podstawach. Czy premjer będzie mianowany z grona skrajnej lewicy dla utworzenia rządu prawicowego, czy też wyjdzie z szeregów umiarkowanych, aby sformować rząd skrajnie lewicowy, udział w rządzie po staremu będą miały zapewnione zarówno elementy radykalne, jak socjalistyczne czy umiarkowane.

*

*

*

Najliczniejsze grupy nie zawsze skupiają największą ilość wybitnych jednostek. Taka grupa np., która liczy ponad stu członków, ma często wiele trudności w ciągu kilku lat, by wyszukać

w swem gronie wystarczający kontyngent kandydatów na ministrów. Coprawda, niekoniecznie trzeba mieć kwalifikacje na stanowisko ministra, aby nim zostać, w ostateczności zresztą można się pocieszyć podsekretarjatem stanu. Jednak ci, którzy mieli dość roztropności lub szczęścia, by zapisać się do mało znaczącej grupy, otrzymywali prawdziwe premje i zaznali dzięki temu tak świetnego losu, do jakiego być może nie przeznaczyli ich bogowie.

A poza tem ministerstwa, podsekretarjaty stanu, większe komisje, nie są jedynemi stanowiskami, do których doprowadzić może szczęśliwe wykorzystanie systemu ugrupowań parlamentarnych. Prowadzi ono często, jeżeli nie zawsze, do prezesury Izby (100.000 franków złotych rocznie), a już co najmniej do wiceprezesury, która jest bardzo mile widziana tak w środowisku parlamentarnem, jak w świecie interesów, lub do stanowiska skarbnika (30.000 franków „z wiktem i opierunkiem”).

Wszyscy się na to zgodzą, że niewiele jest we Francji niezależnych stanowisk, któreby przynosiły ten dochód. Zresztą gdy się ma trzydzieści tysięcy franków renty, nie mówiąc już o sześćdziesięciu lub stu, czyż nie jest to, w całym tego słowa znaczeniu, byt naprawdę niezależny.

*

*

*

Łatwo pojąć, że od czasu, gdy partje grają tak wielką rolę w życiu parlamentarnem, ilość ich mnoży się z dnia na dzień.

Istnieje więc obecnie w Izbie dziesięć odrębnych grup politycznych:

Prawica *),
Akcja Liberalna *),
Republikanie Postępowi *),
Unja Republikańska *),
Lewica Demokratyczna *),
Lewica Radykalna *),
Republikanie Radykalno-Socjalistyczni *),
Republikanie Socjalistyczni ¹⁾ *),
Partja Socjalistyczna *)

i grupa posłów niestowarzyszonych *).

Jeszcze należy dodać do tego grupę „Demokracji Socjalnej” ²⁾ *), która postawiła sobie za cel odmiennie ugrupowanie tych, którzy już są zgrupowani w sposób wyżej przedstawiony, i „Związek Demokratyczny” *), który również dąży do tego samego celu z powodów diametralnie przeciwnych.

Widzieliśmy niedawno pojawienie się „grupy radykałów należących do partji” *), która ma swą siedzibę przy ul. Walezjuszów. Rzeczywiście istnieją tacy radykali, którzy należą do ruchu radykalnego, i tacy, którzy nie należą. Natychmiast utworzyła się „Federacja lewicowców” *), jako

¹⁾ Republikanie Socjalistyczni podzielili się jeszcze niedawno na dwie odrębne grupy, które noszą zresztą tę samą nazwę.

²⁾ Nie odbyła ani jednego posiedzenia.

³⁾ Nazwy tych ugrupowań w języku francuskim brzmią: Les droites, L'Action libérale, Les républicains progressistes, L'Union républicaine, La gauche démo-

wyraz sprzeciwu. Pierwsze swe zebranie odbyła ona przy ul. d'Enghien. W ten sposób wkroczyła w nową fazę walka „Enghien'czyków” z „Walezjuszowcami”, datująca się, jak twierdzą historycy, już od Henryka II.

Tego tylko trzeba było, aby niezwłocznie ukonstytuowała się trzecia grupa tego samego typu, z tym, jedynym w swoim rodzaju, programem: „ani zjednoczeni, ani sfederowani”.

Istnieją parlamentarzyści, którzy należą jednocześnie do grupy radykalnej, do demokracji socjalnej, do republikan demokratycznych i do federacji republikańskiej. Moglibyśmy wymienić nawet i takich, którzy należą jeszcze do radykałów zjednoczonych; tak mało obawiali się skomplikowania sobie życia.



Dodajmy jeszcze, że w każdej grupie istnieją zwykle dwie wyraźnie odmienne tendencje, wynikające z różnicy osobistych poglądów lub rozbieżności doktryn. Gdy mowa jest o produkcji wina, wszyscy Południowcy bez względu na partję, grupują się koło wytwórców, natomiast przed-

cratique, La gauche radicale, Les républicains radicaux-socialistes, Les républicains socialistes, Le parti socialiste, Le groupe des députés non inscrits aux groupes, La démocratie sociale, L'Entente démocratique, Le groupe des radicaux affiliés au parti, La fédération des gauches,

stawiciele Północy gotowi są poświęcić swych najbliższych kolegów dla sprawy uprawy buraków. Gdy na warsztacie jest reforma wyborcza, prawica brata się ze skrajną lewicą, by wkrótce rzucić się w objęcia centrum, jakby to chodziło o sprawę obrony narodowej. Bywają radykali, którzy zwalczają podatek dochodowy; bywają monarchiści, którzy go bronią. Są protekcyjoniści na lewicy, a zwolennicy wolnej wymiany na prawicy¹⁾.

Grupa nie jest bynajmniej organizacją polityczną, lecz związkiem zawodowym. Nie tworzonej dla zapewnienia zwycięstwa jakiegś doktrynie, lecz aby ułatwić pewnej liczbie osobników zdobycie stanowiska bez rozpychania się łokciami.

¹⁾ Na tem nie kończy się bynajmniej organizacja i walka grup. Są grupy, które istnieją dla celów ograniczonych: ta zajmuje się sprawami kolonialnymi, tamta metalurgją. Bywają ludzie, związani ze wszystkimi partjami i dzieć, którzy nie należą do żadnej. Utworzyła się grupa posłów bez względu na partje, którzy są niezadowoleni ze swych prefektów. Inna zajmuje się szermierką. Lecz naszym parlamentarzystom nie wystarczał podział według ich okręgów, ich interesów politycznych, ekonomicznych, wyborczych, ich pragnień, lub niechęci: powzięli więc szczęśliwą myśl zgrupowania się jeszcze według wieku i starszeństwa mandatu. Istnieje grupa „młodych”, których łączy jedynie data wejścia do Parlamentu.

IV.

Prace parlamentarne.

Często jest się skłonnyim sądzić, że parlament nie pracuje. Jest to nędzne oszczerstwo.

Izba rozpatruje corocznie sześćset czy siedemset projektów ustawodawczych, pochodzących od jej własnych posłów, od Senatu, lub od Rządu. Dodaje do tych ustaw prawie drugie tyle poprawek. Weźcie pod uwagę dobrą setkę interpelacyj, które składa się każdego roku. Dorzućcie wreszcie kilka tysięcy petycyj¹⁾, a będziecie mieli obraz zadania, wobec którego znajduje się Izba.

Usiłuje ona zresztą spełnić je jak najlepiej. Wprawdzie większa część interpelacyj starzeje się i traci przeważnie aktualność. Z mnóstwa złożonych projektów ustaw dyskutuje się niewiele więcej ponad pół tuzina w ciągu sesji. Lecz mimo to załatwia się dobrą połowę pozostałych.

¹⁾ P. Eugenjusz Pierre, sekretarz generalny Izby, ogłasza dwa razy rocznie „Stan prac ustawodawczych”, który zawiera 500 do 600 stron.

— Kiedyż więc — zapytacie — Parlament znajduje na to czas?

— Cztery razy na tydzień, o godzinie drugiej, minut piętnaście po południu.

Na początku posiedzenia, zaledwie przybędą pierwsi posłowie, wśród gwaru rozmów i trzasku pulpity, przewodniczący podnosi się i przy powszechnym braku zainteresowania recytuje bezbarwnym głosem tytuł projektowanej ustawy. Potem czyta coraz ciszej i szybciej; na końcu każdego paragrafu podnosi nieco głos, wymawiając jednym tchem:

— Nikt się nie sprzeciwia? Przyjęto!

W ten sposób przyjmuje się ustawy setkami i nikt nawet nie domyśla się, jakie jest ich brzmienie i jaka będzie ich rola.

Aby projekty ustawodawcze miały prawo do tak szybkiej i skróconej procedury, muszą spełniać tylko jeden warunek: aby żaden poseł nie zwalczał ich, ani nawet nie podtrzymywał. By dana ustawa mogła być głosowana w tempie przyspieszonym, wystarcza, iżby nikogo nie interesowała.

Co się tyczy ustaw, które wywołują zamieszanie, to narażone są zwykle na to, że wogóle nie będą uchwalone. I oto dlatego niewątpliwie od roku 1875 prawa pozostały niemal te same.

Antyklerykalizm, podatek dochodowy, ustawy wojskowe i wyborcze, a nadto kilka okolicznościowych, są nadal doskonałymi pozorami, wkoło których skupia się zaciekleść ustawodawców.

Czyż można dziwić się w tych warunkach, że publiczność obrzydziła sobie politykę? Repertuar pozostaje bez zmiany, choć sztuka jest nudna.

W rezultacie budżet od czasów cesarstwa jest głównym przedmiotem prac ustawodawczych.

I tylko w czasie dyskusyj budżetowych parlamentarzyści wprowadzają cień kontroli.

*

*

*

Rzecz prosta, że ciało, składające się z sześciuset członków, nie może samo wykonywać pracy tak drobiazgowej, jak przygotowanie ustawy, lub opracowanie budżetu. Tu właśnie zaczynają działać komisje.

Prócz komisji budżetowej istnieje w Izbie szesnaście wielkich komisji parlamentarnych, dziewięć rozmaitych innych wielkich komisji, siedemnaście komisji wnioskodawczych, siedemnaście komisji dla spraw lokalnych i siedemnaście komisji dla rozpatrywania petycji.

Referaty, opracowane przez te komisje, są nieraz dziełami godnymi uwagi, nigdy jednak nie są dziełami niezależnymi. W rzeczywistości bowiem komisje nie mogą nic zdziałać bez rządu.

Inicjatywa ustawodawcza należy do wszystkich, lecz rząd usiłuje najczęściej uczynić z niej swoją prerogatywę; jeśli przypadkiem pozwoli się ubiec jakiemuś parlamentarzyście, natychmiast przeciwstawia projekt własnego wyrobu owej inicjatywie prywatnej. Gdyby zaś nawet rząd nie umiał sam tworzyć ustaw, ma zawsze możność dopuszczenia do dyskusji wówczas dopiero, gdy sam uzna za stosowne. Wreszcie rząd właśnie ogłasza referaty komisyj.

Wszystko to ma na celu ograniczenie zbyteń-
nego zapалу ustawodawców.

Gdy czyta się pewne referaty, które posłowie piszą o jakiejś ustawie, lub o jakiejś dziedzinie administracji państwowej, trudno nie zdziwić się, odkrywszy w nich naraz tyle roztropności i nowych spostrzeżeń. Pragnęłoby się wówczas widzieć przy władzy tego człowieka, który złożył dowód takiej kompetencji i bystrości. Niestety życzenie to spełnia się, referent zostaje ministrem i wkrótce wszystkie nadzieje zwracają się ku referentowi, który zajął jego miejsce.

*

*

*

Zresztą choćby i było wiele referatów nawet najgodniejszych uwagi, kiedyżby posłowie znaleźli czas, by je choć pobieżnie przejrzeć.

Rozpatruje się rocznie setki referatów na najróżniejsze tematy, a wiele z nich zawiera po kilkaset stronic. Trudno wymagać, aby poseł, zmu-

szony zajmować się swymi wyborcami, odwiedzaniem ministrów, bywaniem na posiedzeniach i komisjach, mógł jeszcze podolać lekturze tak olbrzymiego piśmiennictwa.

Jak można mówić o lenistwie parlamentu? Przeciwnie, zagraża mu raczej nadmiar pracy.

Któż nie czułby się oszołomiony wśród tylu szpargałów, w labiryncie komisyj, w chaosie projektów i przeciwprojektów.

Którą w tem morzu propozycji rozpatrywać przed innemi? A skoro ma stworzyć ona przywilej dla jakiegoś zawodu, czy dla jakiejś prowincji, natychmiast wszystkie inne zawody i wszystkie inne prowincje poczną domagać się z kolei ustawy, stwarzającej dla nich podobne przywileje.

Rozwinął się w ten sposób szeroko handel wymienny.

— Głosuj za mymi pocztowcami, a ja poprę twych winiarzy.

— Głosuj za stworzeniem portu morskiego w Clermont-Ferrand, a ja oddam głos za kanałem od Garonny do Renu.

W rezultacie dochodzi do zgody w sprawach ubocznych, a rzeczy istotne pozostają w zawieszeniu; parlament w ciągu roku załatwia trzysta ustaw, a dyskutuje nad trzema, których być może nawet wcale nie uchwala. Czyż trzeba dodawać, że właśnie tylko te trzy były naprawdę ważne.

V.

O poprawkach.

Posłowie nie tworzą ustaw, lecz wprowadzają jedynie poprawki.

Poprawka jest to zastrzeżenie, na które zdobywa się poseł w chwili, gdy uchwala się budżet, nie zawierający żadnej z przyrzeczonych niegdyś przez niego reform; jest to rezerwa, którą stwarza on sobie w chwili głosowania ustawy, kolidującej z jego istotnymi zasadami; jest to spóźniony wyrzut sumienia, jawiący się przed ostatecznym wyrażeniem zaufania rządowi, który zadał właśnie gwałt jego przekonaniom. Poprawka tem jest dla parlamentarzysty, czem przedmowa dla Teofila Gautier'a, czem post-scriptum w liście kobiety: zawiera najdroższą jego myśl, którą wyraża z największą nieśmiałością.

Trudno atakować rząd wprost i odrzucić projekt, z którym wiąże się kwestja zaufania. Przyjmuje się więc ustawę, której zwolennikiem nigdy się nie było i proponuje się poprawki.

Jakiś poseł np. zapisał w swoim programie sprawę zniesienia urzędu podprefektów. Czyż ma więc dlatego głosować przeciw rozdziałowi budżetu, który rozszerza ich działalność? To byłaby trudna sprawa. Minister popiera swych podprefektów; kto wie nawet, czy rząd nie postawi tego, jako kwestję zaufania. Coby to była za skomplikowana historia i jaka odpowiedzialność! Lecz czy nie można poprawić tego artykułu, nie posuwając się aż do odrzucenia go? Gdyby tak np. zaproponować zmniejszenie odnośnego kredytu o sto franków „ze względów zasadniczych”? W ten sposób poseł zabezpiecza się przed odpowiedzialnością: Miljony dla podprefektów, sto franków dla swych zasad.

Dogodził w ten sposób wszystkim.

*

*

*

Dawniej, jeśli rząd odważył się na jakąkolwiek reformę, prosto odrzucano ją. Conajwyżej przyjmowano pierwszy artykuł, aby odrzucić następnie wszystkie pozostałe. W ten sposób czyniono zadość zarówno zasadzie, skoro ją przyjęto w głosowaniu, jak i interesom, które tu w grę wchodziły, skoro nie zostało zmienione.

Przytoczę tu tylko bardzo jaskrawy przykład. Tak właśnie podatek dochodowy zgłaszany był do Izby kolejno w r. 1872 przez pp. Wolowskiego, Henri Germain i Léonce de Lavergne, przez Gambettę w 1876, potem przez sześciu

ministrów skarbu: p. Dauphin w 1887, p. Cavaignac w 1894, p. Doumer w 1896, p. Rouvier w 1904, p. Caillaux w 1907 i w 1911. Musimy być jeszcze cierpliwi.

Warto podkreślić, że większość tych projektów była w zasadzie przyjęta. Nikomu to, rzecz prosta, nie przeszkadzało.

Wyborcom jednak dokuczyły w końcu takie metody i powzięli wątpliwość co do dobrej woli swych elektów. Trzeba było zapobiec niebezpieczeństwu. Wówczas to powstała ta nowa szkoła, która stosuje dziś to, co zgodzono się nazywać, niewiadomo właściwie dlaczego, „polityką wyników”.

— Jestem człowiekiem czynu — oświadczył niegdyś pewien premier, poczęto go więc uważać za twórcę szkoły.

Od tego czasu zasypują nas reformami. Bieda nam! Boże parlamentarzystów, powróć nam dawny spokój — tę rodzinną kałużę, pełną nenufarów, rozbrzmiewającą śpiewem żab.

Czy więc niema żadnych reform do przeprowadzenia? Naturalnie, że są! A więc nie te, które próbowano wprowadzać? Ależ przeciwnie, również i te.

Niestety, jest około sześciuset posłów; aby ustawa mogła dojść do skutku musi mieć za sobą przynajmniej połowę, a wśród tej połowy każdy ma inne poglądy na stosowanie różnych metod, wygłasza inne zastrzeżenia i dąży do innych wyników.

*

*

*

Wyobraźmy sobie teraz, że w tych warunkach minister skarbu proponuje wprowadzenie podatku od fortepianów. Jest to reforma nie cierpiąca zwłoki i wprost niezbędna dla zrównoważenia budżetu. Ba, jest to, co ważniejsza, środek naogół demokratyczny i wszyscy zgadzają się nań głosować.

— Jednak trzeba będzie zwolnić muzyków zawodowych, — nadmieniają socjaliści.

— No, i nauczycieli tańca — dodają radykali, reprezentujący klasę średnią.

I wnet się sypie, jak z rękawa:

— Zwolnijmy rodziców trojga żyjących dzieci.

— I rodziny, które mają syna w wojsku.

— Tych, którzy spędzili dziesięć lat w kolonjach.

— Nauczycieli.

— Kupeów kolonialnych.

Ostatecznie podatek od fortepianów przechodzi olbrzymią większością. Niestety, niema go komu płacić.

Taryfy celne, projekt podziału administracyjnego, prawo wyborcze — wszystkie te reformy przeszły podobne koleje.

Ostateczny tekst ustawy w niczem nie przypomina pierwotnego projektu. Każdy zgłasza jakąś poprawkę i głosuje zwykle za wnioskami kolegów, aby i jego zostały przyjęte w drodze spra-

wiedliwego rewanzu. Wynika z tego płatanina sprzeczności i absurdów, przed którą zadrżałby sam król Pétaud *). Proponuje się zniesienie odpowiedzialności osobistej dłużnika — w czasie dyskusji nad ustawami świeckimi; wprowadzenie wybieralności kobiet — gdy głosuje się nad ustawą skarbową; rewizję konstytucji — bez żadnej po temu okazji. A p. Jaurés podejmuje się stworzyć państwo przeszłości drogą poprawek...

*

*

*

A czy w ten sposób stworzona dziwaczna ustawa będzie mogła wogóle wejść w życie — nikt sobie tem głowy nie zaprząta: od czegoż Senat? Niech poprawia! No, a jeżeli Senat pozostawi ją bez zmiany? To są jeszcze ministrowie: niech oni sobie radzą i wydają dekrety. A jeżeli ministrowie nie wybrną z tego? To niech powołają komisje administracyjne, techniczne, pozaparlamentarne! A jeżeli komisje też niczego nie dokonają? Wówczas pozostaje Rada Państwa **). Bo od czegoż byłaby Rada Państwa?

*) Niegdyś we Francji żebracy wybierali swego przełożonego, którego zwano w żartach królem Pétaud z łacińskiego „peto” — „proszę”. Ponieważ nie miał on żadnej władzy i autorytetu wśród swych poddanych, stworzono określenie „dwór króla Pétaud” dla oznaczenia t. zw. popularnie „bałaganu”.

**) Conseil d'Etat.

Ustawa już nie jest ustawą, lecz zbiorem trzystu poprawek, dziesięciu dekretów, trzech rozporządzeń¹⁾.

Parlament w dalszym ciągu nie przeprowadza żadnych reform. Zmienił tylko obecnie sposób postępowania: nie odrzuca już ustaw, lecz zniekształca je.



Niema już kontroli: sprzedano prawo do niej za przywileje. Niema już budżetu: układają go urzędy na swój sposób. Niema już ustaw: rozważa je teraz Rada Państwa.

Oto obraz tego, co ludzie z uporem nazywają „ustrojem parlamentarnym”²⁾

¹⁾ Co się tyczy wniosków o przejście do porządku dziennego, t. zn. przy interpelacjach, poprawka nazywa się „dodatkiem”. Otóż interpelanci przyzwyczaili się już od pewnego czasu w zakończeniu swych wniosków o przejście do porządku dziennego wypowiadać formułkę: „...i odrzucając wszystkie dodatki”. Wnioski takie, jak wiemy, to sprawy poważne, których sensu nie należy, rzecz prosta, wypaczać. Lecz nikt jeszcze nie pozwolił sobie na to, by zakończyć projekt ustawy formułką: „odrzucając wszelkie poprawki”. Dowodzi to raz jeszcze, że ustawy są w oczach posłów o wiele mniej poważne, niż wnioski o przejście do porządku dziennego.

²⁾ Nie uważaliśmy za konieczne, aby poświęcić Senatowi osobny rozdział. Luksemburg *) jest zwykle miejscem schronienia byłych posłów: senator to tylko poseł szczególnie uparty.

*) W Pałacu Luksemburskim znajduje się siedziba Senatu francuskiego.

MINISTROWIE I MINISTROWIE

I.

Wprowadzenie w urząd.

Rzecz dzieje się w gabinecie jednego z ministrów.

Rząd został obalony przed trzema, czterema czy ośmioma dniami. Minister, który przez długi czas miał nadzieję, że weźmie udział w przegrupowanym gabinecie, dowiedział się właśnie nazwiska swego następcy. Z tego powodu jest pełen goryczy i ironji zarazem.

„Nikt — myśli on — nie nadaje się mniej na to stanowisko”.

Trzeba zaznaczyć, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć opinia jego jest najzupełniej usprawiedliwiona. W dziesiątym przypadku zresztą — również.

Minister tedy oczekuje swego następcy, załatwiając sprawę bieżące i pakując manatki.

W tej chwili przejściowej utrzymuje on jeszcze czas jakiś autorytet, lecz jest już uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności. Upaja się te-

mi ostatnimi minutami władzy, wówczas absolutnej...

W tej chwili przybywa nowy minister. Jeżeli to jest stary wyga, jest natychmiast u siebie: pyta o nowiny w urzędzie, który znał dobrze wcześniej, niż minister ustępujący; stara się okazać, że wie wszystko, że żaden szczegół nie jest mu obcy; niczego nie chce się uczyć.

Jeżeli, przeciwnie, nowoprzybyły jest debiutantem, jest nieśmiały i zdezorjentowany, upojony swą nową władzą i zarazem zażenowany wobec kolegi, któremu odbiera posadę. Boi się zadać absurdalne pytanie, lub nie wiedzieć jakiegoś zasadniczego szczegółu. Gdy nawet najgoręcej pragnie się poinformować, jeszcze waha się pytać.



Miedzy dawnym i nowym ministrem łączy się rozmowa... Nie bójcie się: jest serdeczna. Choćby ich dzieliły różnice poglądów, choćby istniały między nimi urazy osobiste, ci dwaj ludzie należą do tego samego środowiska parlamentarnego. To są koledzy. Zresztą przecież w chwili, gdy się staje ministrem, nie należy rezygnować z okazania się człowiekiem światowym.

Więc też i ich słowa będą obmyślane, uprzejme i umiarkowane.

— Ciężkie to zadanie Pana zastąpić.

— Pocięchą jest dla mnie, że składam ten urząd w pańskie ręce.

Po wymianie grzeczności przechodzi się do spraw poważnych: kilka zapytań co do ruchomości Ministerstwa, co do ułatwień, na które zgadza się państwowy skład mebli, który staje się z dnia na dzień mniej uprzejmy; poleca się pewną ilość osób. Wreszcie przechodzi się do zagadnień publicznych.

Odchodzący minister kładzie specjalny nacisk na niektóre sprawy osobiście przez niego podjęte, które są naogół mało ważne — inaczej bowiem nie inicjowałby ich. Gawędzi chwilę, przerzuca niedbale papiery. Wszystko to trwa pół godziny. Wreszcie odchodzi.

Odchodzi i długi czas nie będzie się go tu widziało. Pewnego dnia powróci być może, aby polecić jakiegoś urzędnika, lub jakiegoś kandydata, lecz nigdy już nie zainteresuje się działaniem urzędu, którym sam kierował, być może, przez szereg lat...

*

*

*

Nowy minister zostaje sam. Wchodzi on teraz rzeczywiście w posiadanie. Przechadza się po pokoju, ogląda ściany, podchodzi do okna. Stamtąd spostrzega ciężko naładowane wozy, które uwożą „akta osobiste” jego poprzednika.

Powraca, aby usiąść na fotelu ministerjalnym. Przypomina sobie rozmowę, którą właśnie

przeprowadził i która nie miała żadnego znaczenia. Spogląda na swoje biurko, na którym nic niema. Otwiera szuflady, które są próżne.

Z tą chwilą spoczęła na nim odpowiedzialność za jeden z wielkich urzędów państwowych.

II.

Minister wobec personelu.

Tymczasem ministrowi przedstawiają się główni kierownicy urzędu, których ma od tej chwili pod swoją władzą.

Rozmowa była krótka. Minister zachowywał się życzliwie i z pewnem zażenowaniem. Wyżsi urzędnicy zachowywali się z szacunkiem i z pewną rezerwą.

Czasem już się znają ze sobą. Jeżeli przypadkiem minister jest specjalistą od spraw, któremi ma odtąd kierować — wszystko się zdarza — miał już może sposobność być w styczności ze swymi urzędnikami: zażądał od nich wyjaśnień, których, być może, byli zmuszeni mu odmówić, a w każdym razie mieli sposób ukryć je przed nim. Dziś, gdy minister stał się ich najwyższym szefem, czuje się wobec nich pełen wdzięczności, choć nieswojo.

Jeśli przeciwnie, nie jest specjalistą, a nawet kompletnie nie zna się na tej specjalności,

która odąd jest jego specjalnością, jest oczywiście nieco swobodniejszy. Wnosi wtedy w stosunki mniej nieufności, a więcej kokieterji.

Lecz we wszystkich przypadkach obawia się on surowej krytyki tych ludzi schylających się przed nim, a może nawet zaczyna wątpić w samego siebie.

Niewątpliwie fachowość jego wydała się wystarczająca Prezesowi Rady Ministrów. Została uświęcona podpisem Prezydenta Republiki i, być może, nawet niejednokrotnie zadziwiła jego kolegów z jednej lub drugiej Izby. Lecz co będą myśleć o tem ci ludzie, posiwiali w służbie, którzy znajdują się, być może, od dwudziestu lub więcej lat na czele swych wydziałów?

Otóż specjalności parlamentarne, nawet najbardziej uznane, nie muszą być bynajmniej dawnej daty, ani olśniewające. Nazywają specjalistą od spraw wojskowych tego, kto był kapitanem w służbie czynnej, lub nawet tylko komendantem okręgu rezerwy. Chemik, który zajmował się prochem, dobija się o ministerstwo marynarki. Były aptekarz lub były jubiler ubiegają się o zarządzanie handlem. Sędzia pokoju w kolonjach, o kompetencji rozległej, wydaje się być akurat przeznaczony do kierowania Ministerstwem Kolonij, Handlu, Oświaty lub Spraw Zagranicznych — i to jest z pewnością najpiękniejszy przypadek rozszerzenia kompetencyj, jakiego kiedykolwiek zaznał sędzia pokoju.

*

*

*

Urzędnik, zajmujący swe stanowisko od dłuższego czasu, który widział zmieniających się tyłu ministrów, który służył tyłu systemom politycznym, lecz przecież czuje się u siebie, spogląda na tego przybysza, tego tymczasowego pana, z odrobiną pogardliwego pobłażania.

I nawet, jeśli uzna on wartość lub talent ministra, pogardza nim trochę: wszak minister nie zna skomplikowanego składu maszyny urzędowej i piękna formuł administracyjnych. I choćby minister miał wrodzoną zdolność rządzenia, urzędnik wie dobrze, że to on sam tylko posiada rutynę.

Z tą chwilą rodzi się konflikt. Minister nie ufa urzędnikom, urzędnicy zaś obawiają się ministra. Być może, że nieufność ta jest tak samo usprawiedliwiona, jak i ta obawa; w każdym razie można przewidzieć, jaka będzie współpraca: może nawet serdeczna, ale nigdy pełna zaufania.

Tylko minister może wydawać rozkazy, lecz tylko urzędnicy mogą rozstrzygać o losach tych rozkazów.

*

*

*

Zdarza się, że minister traci cierpliwość; chcąc zorjentować się w labiryncie administracji, postanawia wielką reformę, całkowite przekształcenie wydziałów według swego własnego planu, który będzie oczywiście uproszczeniem.

Niestety tego rodzaju uproszczenia powodują trudności bez liku. Proste podziały, dokona-

ne na papierze, wywołują nieskończoną ilość następstw w różnych szczegółach. Akta giną, korespondencja jest niedbała, wybuchają spory o właściwość. Zresztą nie przewidziano wszystkiego, trzeba naprawiać niedopatrzienia, pozostawiając rozstrzygnięcie ich losowi.

Szybko nadchodzi chwila, gdzie minister nie orientuje się już ani w nowej organizacji, ani w starej. Coprawda wówczas i wyżsi urzędnicy, którzy przytłaczali go dotychczas swą wiedzą, tracą już też orientację. Dobry i taki wynik.

Lecz taki wynik zadawalnia tylko miłość własną ministra. Współpraca z podwładnymi, wierzcie mi, nie umacnia się przez to.

Choćby minister najdłużej dzierżył władzę, zawsze jest to „obcy”, a czasem jest to „wróg”. Sławny jest duch „karjery”, który rządzi w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, lecz istnieje on w tym samym stopniu we wszystkich innych urządach Państwa.

III.

Gabinet ministra.

— Dla nas, urzędników zawodowych, minister jest wysokim zwierzchnikiem — mówił prezes Stowarzyszenia Urzędników¹⁾ — dla pracowników przydzielonych do gabinetu jest on poprostu pryncypałem.

Naturalnie minister czuje się o wiele lepiej ze swymi najbliższymi pracownikami, którzy przynajmniej nie przytłaczają go wiedzą zawodową.

Znajdują się oni tuż przy nim, najczęściej młodzi, liczni, weseli, sympatyczni. Pochodzą potrochu zewsząd. Najczęściej są to krewni ministra: jego synowie, bracia, kuzyni, siostrzeńcy, krewni w różnych stopniach według komputacji bretońskiej i gaskońskiej. Poza tem są

¹⁾ P. Ludwik Salaun, prezes Stowarzyszenia Urzędników Cywilnych Ministerstwa Kolonij. Porów.: „Aby zahamować system protekcji, trzeba zorganizować system awansów”.

to synowie, bracia, kuzyni, siostrzeńcy, wstępni i zstępni jego najwybitniejszych kolegów i wielkich wyborców.

Są tam również jego sekretarze osobiści i wszyscy młodzi ludzie, spotkani przypadkiem na drodze jego kariery, którzy mu przygotowali jakieś akta, lub tańczyli z jego córką. Jest też kilku urzędników, mających autorytet, którzy znajdują tu możność wznoszenia się po szczeblach hierarchji urzędniczej lub poprostu pragną przerwać monotonię życia biurowego.

Jest też w gabinetach ministerjalnych kilku kierowników, ludzi wiedzy i zasługi, rekrutujących się z wielkich instytucyj państwowych, z Izby Obrachunkowej, Rady Państwa, Izby Kontroli Finansów czy Kolonij lub poprostu wybranych ze względu na ich wartość osobistą, a którzy staną się pewnego dnia wysokimi urzędnikami lub parlamentarzystami godnymi poważania.

Notujemy ich tutaj dla pamięci.

*

*

*

Co robią urzędnicy gabinetu?

Zwykle jest tam jeden człowiek, który pracuje. Przeważnie jest to dyrektor gabinetu, czasem prosty kierownik-zastępca. On to jest ośrodkiem porozumienia z różnemi wydziałami, przygotowuje papiery do podpisu ministra, pisze mowy i przyjmuje wielkich dygnitarzy państwowych.

Kierownik sekretarjatu osobistego ma również funkcje określone. Dogląda korespondencji osobistej ministra, zajmuje się jego stosunkami, wyborcami, dostawcami, a gdy zajdzie potrzeba, i jego kochankami. Naśladuje pismo szefa¹⁾, czasem też jest doradcą w zakresie jego elegancji.

Zakres władzy innych pracowników — zastępców kierowników, ich pomocników, urzędników przydzielonych do gabinetu i sekretarzy osobistych — jest mniej określony. Obarcza się ich coprawda czasem przestudjowaniem jakichś aktów, lecz nie dba się o to, aby im pracę umożliwić. Napróżno próbowali oni dowiedzieć się czegoś w wydziałach. Tam ich prawie nie znają i przyjmują nieprzychylnie. To też zniechęcają się szybko.

Czasem zleca się im jeszcze trud przyjmowania mało ważnych interesantów, lub miernych dziennikarzy, lecz mimo dobrych chęci i dobrej woli nie orjentują się dostatecznie w szczegółach urzędowania, o które ich pytają. Oprawdają więc swych przypadkowych gości po wszystkich biurach i przeładowują wszystkich wyjaśnieniami bez znaczenia.

¹⁾ To jest istotne. Dobry sekretarz nie potrzebuje być pracowitym, ani zaradnym, ani nawet zbyt inteligentym, lecz musi mieć ten sam charakter pisma, co szef. Jest w parlamencie kilku posłów, którzy zajmują w swych okręgach pozycję niezachwianą tylko dlatego, że w czasie, gdy byli ministrami, ich wyborcy otrzymywali 500 lub 600 listów miesięcznie, o których sądzono, że pisane są przez ministra własnoręcznie.

Czasem minister zabiera ich ze sobą w podróż urzędową: jest to dla nich godzina sławy i wówczas cieszą się wielkiem poważaniem i przyjmują wiele próśb.

* *

*

I gdyby choć na tem poprzestali.

Na nieszczęście w urzędzie tak złożonym, jakim jest ministerstwo, w mechanizmie drobnych i rozlicznych kółeczek, znajduje się dla nich miejsce, jakiś przyznany urząd i coś w rodzaju władzy. Jednem słowem mają prawo bawić się tym mechanizmem i nie wyrzekają się tego prawa. Naczelnny zwierzchnik popiera ich; on ich zaprosił do zwiedzania tej fabryki, której jest kierownikiem. Powiedział im — możecie wszystkiego dotykać, może nawet dodał — powinniście się starać być użyteczni. Wszak często gospodarz niewiele lepiej się orjentuje, niż jego gość.

Więc przydzieleni urzędnicy—, „zaproszeni goście”, zgłębiają fabryczne tajniki. Przyglądają się wszystkiemu z ciekawością; tu dotkną kierownicy, tam przesuną przekładnię. Zawodowcy przyglądają się im z ironją i trochę z niepokojem. Wkrótce taka zabawa nie wystarczy już tej zaborczej młodzieży; mechanizm ten wydaje się im zgruba ciosany i przestarzały, należy go ulepszyć i dostosować do wymagań dnia.

Bo czyż nie poto tu są, aby przynieść ze sobą nowe koncepcje, aby zasilić stary organizm

nowemi metodami? Nie wystarcza im już dotykane wszystkiego, zabierają się do przerabiania różnych rzeczy.

Wówczas już zawodowcy buntują się zupełnie. Nie odpowiadają już na ich pytania i protestują przeciwko ich zapędom. Proszą ich, aby się zajęli własnymi sprawami.

I osiągają to bez wielkiego trudu.

Odtąd, nie mając możności poświęcania się dla Francji, poświęcają się już tylko dla siebie samych. Ponieważ nie dano im uczestniczyć we władzy swego szefa, poprzestają na rozdzielaniu jego łask. A jeśli zdarzy się im w tym rozdziale, że tracą miarę, to dlatego, że są młodzi; jeśli zaś nie zachowują się poprawnie, to dlatego, że są źle przygotowani.

Naogół biorąc, dziwne jest, że skandale w gabinetach ministerjalnych nie zdarzają się częściej jeszcze, bo fakt, że czasem się je tuszuje, nie wystarczy dla wyjaśnienia tego.

* *

*

Czego oczekują ci wszyscy adherenci ministra? Czego się spodziewają?

Wszystkiego. A nadewszystko dostępu do funkcji publicznych; marzeniem ich jest dostać się bez konkursu na drogę wielkiej kariery administracyjnej, a zwłaszcza uniknąć powolnego wznoszenia się po szczeblach pośrednich.

W kuluarach Pałacu Burbońskiego i Luksemburgu, w związkach dziennikarzy bez dzienników, w organizacjach politycznych, snują się gromady młodych ludzi, którzy, nie mając ani zawodu, ani specjalnych uzdolnień, ani określonej pensji, pragną ustalić te swoje nieokreślone zdolności i wyspecjalizować się w zawodach najkorzystniejszych.

Prawie wszyscy oni są sekretarzami posłów i wkońcu stają się częściej lub rzadziej współpracownikami ministrów. Początek ich kariery upłynął na pisaniu w imieniu swoich przełożonych listów polecających; marzą o tem, aby dalszą jej część spędzić na wystawianiu opinii w imieniu Państwa. Albowiem są ambitni.

W niektórych ministerstwach liczono do czterdziestu takich młodych ludzi, zaczepionych pod jakimkolwiek pozorem¹⁾. Rozumie się, że nieświeżo byli uposażeni.

Fundusze, przeznaczone na zaludnienie gabinetów, nie przenoszą dwunastu do piętnastu tysięcy franków dla ministerstwa²⁾; jeden lub dwóch

¹⁾ Od pewnego czasu usiłują ograniczyć te nadużycia. Postanowiono, że każdy gabinet ministra posiadać będzie pewną określoną liczbę szefów i pracowników przydzielonych; ministrom zresztą wolno wzajemian otaczać się sekretarzami osobistymi i pracownikami bez tytułu, których zakres władzy i ambicje są zupełnie te same, jak dawnych zastępców kierowników i urzędników przydzielonych.

²⁾ Istnieje coprawda w wielu ministerstwach fundusz delegacyjny, którym minister dowolnie rozporządza. Większość delegowanych nie potrzebuje opu-

szefów gabinetu pochłaniają je prawie całkowicie; kilku praktykantów dostaje po pięćdziesiąt franków miesięcznie. Większość nie otrzymuje nic.

To też bynajmniej nie przybyli tam dla natychmiastowych korzyści; przybyli, aby stworzyć sobie uprawnienia. Czasem te uprawnienia zostają im przyznane — i to jest skandal. Najczęściej nie zostają przyznane — i to jest może również skandal.

Zapewne, oni nie zrobili nic, albo prawie nic. Ale jednak tkwili tam i może pragnęli być użytecznymi. W każdym razie trzymano ich; mimo braku pracy dla nich zajmowano im czas, a ponieważ nie dano im za to pieniędzy — uprawniono tem samem ich nadzieje. Są rozgoryczeni i może nie bez racji.

Jest to jedna z uroczych stron tego regime'u, że tworzy w ten sposób pewną kategorię uprzywilejowanych poto tylko, żeby odrazu i jednocześnie ich zrewoltować.

szczać Paryża i nawet gabinetu ministra. Lecz prze-
ważnie tylko szef gabinetu korzysta z tego beneficjum.

IV.

Minister podpisuje.

Jednakże, pomimo wrogiego nastroju urzędników, przy współpracy swego przypadkowo skonstruowanego gabinetu, minister bierze się odważnie do pracy.

Nie wyobrażajcie sobie, że jego zajęcie jest synekurą.

Otóż przedewszystkiem minister jest delegatem parlamentu: musi mu zdawać sprawę ze swoich poczynąń. Parlamentarzyści piszą do niego, odwiedzają go, interpelują. Trzeba przyjmować, odpowiadać, przygotowywać mowy, pokazać się na tem lub owem zebraniu.

Poza tem minister jest członkiem rządu: musi być obecny na radach ministrów, być stale o wszystkim poinformowany, wypowiadać swoje zdanie o wszystkim, co dotyczy ogólnej polityki rządu.

Jest także posłem. Musi się troszczyć o swoich wyborców, którzy są bardziej natrętni od cza-

su, gdy zdobył władzę. Jeśli mu jeszcze starczy czasu, rządzi.

*

*

*

Rządzić, to znaczy wyznaczać urzędników, których się nie zna, do działań, na których się nie zna; to znaczy: pośród chóru prośb, łajañ, wzajemnych oskarżeń i gróźb, rozdzielać awanse i ordery.

Rządzić, to znaczy jeszcze: opanowywać bezpośrednio trudności. Mówi się, że minister znajduje się w obliczu trudności bezpośrednich, jeśli jakiś fakt poważny, albo skandaliczny, który wydarzył się w jego agendach, nie da się już ukryć.

Ponadto rządzić, to podpisywać.

Zaledwie przed godziną objął minister swój urząd, a już zjawia się przed nim urzędnik, i podsuwa akta, wskazując mu miejsce, gdzie należy położyć swój podpis.

Jest to scena symboliczna. Szef kancelarii, który jest przy tem obecny, w postawie pełnej szacunku, lecz i rozkazującej, poucza ministra o rozległości jego władzy i jej granicach.

— Oto — mówi on całem swem zachowaniem — decyzja, której Pan nie wydał, dotyczy ona spraw, na jakich wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Pan się nie zna. Zaprojektowaliśmy ją i zredagowali przed Panem i poza Panem. Pan może być obalony, my ją wykonamy nawet po pańskim odejściu. Jednakże potrze-

bujemy pańskiego podpisu i bez niego nic nie możemy.

I minister podpisuje.

W ten sposób poznał on w jednej chwili całą pychę, związaną z władzą, i całą skromność, jaka przystoi ludzkim poczynaniom. Od tej chwili otrzymuje wielką moc, której jest niewolnikiem.

*

*

*

Niewątpliwie, z początku minister usiłuje wiedzieć, co podpisuje. Wówczas stos papieru rośnie na jego biurku, podwładni szaleją, rozporządzenia opóźniają się, wypłaty stają się nieregularne, decyzje pozostają w zawieszeniu, straszliwy nieład wypełnia cały urząd, który jest pod jego pieczęcią. Musi zrezygnować.

Wymieniają jednak ministrów, którzy obstawali przy chęci czytania wydawanych przez siebie decyzyj. Szkoda, która z tego wynikła dla ich urzędów, jest nieobliczalna. Usilna praca, która nie wystarczyła im, ażeby rzeczy wyjaśnić, spowodowała tylko to, że zatrzymał się bieg jednego z wielkich działów służby państwowej. Nie osiągnąwszy opanowania swego zadania, burzyli porządek publiczny.

Albowiem urzędy nie są stworzone dla przystosowywania się do fantazyj ministrów. To ministrowie winni stosować się do metod panujących w ich urzędach.

Minister może próbować z początku buntować się. Przyjdzie chwila, gdy będzie musiał zrezygnować.

*

*

*

Nasze metody rządzenia są godne podziwu. Zostały one ułożone w roku VIII *) przez Bonapartego, pierwszego konsula, i można było w ciągu niemal całego wieku powiedzieć bez ironji, że Europa zazdrościła ich.

Było bezwątpienia słuszne, że Europa zazdrościła ich Napoleonowi, ale stało się paradoksalne, gdy zapożyczyła je sobie demokracja.

Otóż nasza demokracja nie zadowolili się skopjowaniem cesarskiego systemu centralizacji, lecz pogłębiła go jeszcze ponad wszelkie oczekiwanie.

Dawniej władza centralna wydawała rozporządzenie i czuwała, aby zostało wykonane. Miała inicjatywę, lecz pozostawiała podwładnym troskę o unormowanie szczegółów. Sam Napoleon zadawał się wysłaniem swoim prefektom i generałom rozkazów, pozostawiając im kłopot wykonania ich. Ministrowie trzeciej republiki inaczej się na to zapatrują i okazują się o wiele bardziej zazdrośni o swoją władzę. Nie wystarcza im dawanie ogólnych poleceń: chcą przewidzieć najdrobniejszy szczegół ich zastosowania; wyma-

*) 1799 r.

gają, żeby im zdawano sprawę z najdrobniejszych faktów. Oni tylko w całej Francji mają prawo powziąć decyzję.

Podziwiajcie urok tego systemu: gubernator z Wybrzeża Kości Słoniowej stłukł słuchawkę telefoniczną. Musi zwrócić się do Ministra Kolonij w Paryżu, żeby wyjednać jej naprawienie.

W Brest statek dozorca rybołówstwa ma flagę tak wypłowiałą, że nie można już rozpoznać, jakiej jest narodowości. Jedyne Minister Marynarki w Paryżu ma prawo przydzielenia innej flagi i obarczenia państwa z tego tytułu wydatkiem 4 fr. 85 ct.

Minister również osobiście decyduje o odpowiedzialności niższego oficera marynarki, który upuścił do morza pasek, i o sposobie wpisania do ksiąg administracyjnych szczeniąt, które przyszły na świat w arsenale.

*

*

*

Wzbudza to podziw, że Napoleon mógł podpisać w Moskwie dekret o organizacji teatru Comedie Française. Minister współczesny robi więcej; z Paryża zarządza, na jaki kolor trzeba pomalować latryny portu Tulońskiego.

Bo też nasi ministrowie posiadają środki rządzenia, których brakło Napoleonowi: szybkie przejazdy kolejami, telegraf i telefon. Nie mają potrzeby pozostawiania czegokolwiek inicjatywie swych podwładnych. Nawet jeśli idzie o de-

cyzję w najpilniejszej sprawie, istnieje możliwość wysłania depeszy przed powzięciem postanowienia ¹⁾).

Zadawano sobie nieraz pytanie, co robiłby Napoleon, mając do dyspozycji telegraf? Wszystko każe przypuszczać, że popadłby w obłąd.

¹⁾ Zajrzyjcie do „Biuletynu Urzędowego” naszych wielkich urzędów: porównajcie instrukcje, które wysyłano 30 lat temu, z cyrkularzami, depeszami potwierdzającymi, wyjaśniającymi i prostującymi, których liczba mnoży się ciągle: wyczytacie tam historję Administracji Francuskiej.

V.

Urzędy funkcjonują.

Nasi ministrowie popadają w obłęd dość rzadko, a nawet dają sobie ze wszystkim radę.

Nie podziwiajcie z tego powodu ich genjuszu. Wystarczy podziwiać ich metody.

— Jest ktoś, kto ma więcej rozumu, niż pan Wolter: to pan Ogół — mawiał Wolter.

— Kto jest silniejszy od Turka? Dwóch Turków — mówi przysłowie popularne.

Naszym ministrom wydaje się, że biorąc się do dzieła w liczbie tuzina lub półtora, zastąpiłiby bez wysiłku Napoleona, a nawet przyczyniliby się do pogrążenia go w niepamięć, pod warunkiem, że będą mogli przydzielić sobie kilka tysięcy urzędników.

Wszystkie decyzje zatem należą w dalszym ciągu do władzy centralnej i wystarcza, żeby ta władza została rozproszona pomiędzy dostateczną ilość różnych urzędów, aby naraz się okazało, że nie przytłacza nikogo.

Utworzyliśmy w ten sposób tę zachwycającą organizację, gdzie żaden prefekt, żaden dowódca korpusu, żaden admirał, żaden poborca generalny, żaden gubernator kolonij nie może powziąć decyzji, nie zwróciwszy się przedtem do ministra; lecz minister zdaje na urzędnika szóstej klasy trud wydania rozporządzenia, którego się domaga prefekt, admirał, generał, lub gubernator.

Nasza konstytucja utworzona została przez Napoleona I na jego użytek. My poprzestaliśmy na oddaniu jej do dyspozycji panu Badin¹⁾. Po-tem ogłosiliśmy wszędzie, że ugruntowaliśmy demokrację.

*

*

*

Dzięki tej szczęśliwej organizacji nie istnieje dziś, że się tak wyrażę, ani jeden akt urzędowy, któryby nie pociągał za sobą conajmniej podwójnej odpowiedzialności.

Szyby Ministerstwa Skarbu muszą być wymyte od wewnątrz przez służących Ministerstwa, lecz tylko administracja Pałacu Sztuk Pięknych jest odpowiedzialna za umycie ich od zewnątrz, gdyż Ministerstwo Skarbu stanowi część niepodzielną Luwru.

Zajdźcie do ogrodu dawnego Pałacu Królewskiego. Zobaczycie tam, co pewien czas, agentów brygady obyczajowej, którzy robią rewizję u zamieszkałego w przyległym budynku book-

¹⁾ Figlarz, żartowniś.

makera, kiedy indziej zobaczycie dozorców ogrodu, pełniących służbę przed jego drzwiami. Albowiem nie zależą oni od tej samej władzy.

Sędzia śledczy, który ściga przestępców, podlega Ministrowi Sprawiedliwości. Policjant, który ich aresztuje, lub też conajmniej stara się to czynić, zależny jest jedynie od Ministra Spraw Wewnętrznych.

I nie są to jedyne konflikty, jakie powstają między dwoma Ministrami. Trzeba się liczyć jeszcze z trudnościami, jakie powstają wewnątrz tego samego urzędu.

Naczelnicy i główni kierownicy tego samego ministerstwa lekceważą się, a czasem się nienawidzą. Każdy z nich ma swoje zwyczaje i żyje w swym kącie zajęty jedynie sprawami swego urzędowania. Nie mają wspólnych poglądów, nie utrzymują najczęściej żadnych stosunków poza wymianą pism, dość rzadką zresztą, i zbierają się raz na rok, ażeby stworzyć pozór dyskusji nad listą awansów.

Od wielu już lat cała prasa i rada miejska walczy o zjednoczenie warsztatów robót miejskich w Paryżu. Do czego ta cała walka doprowadziła? Skarży się kto na brudy w Paryżu? Ma wtedy do czynienia z kierownikiem administracji dróg i ulic, do którego należy zarząd kredytów, materiałów i personelu, oraz z kierownikiem technicznym, na którym spoczywa obowiązek „angażowania, klasyfikowania i organizowania”. Mimo to Paryż jest brudny, ale czyż to jest winą dyrektora technicznego, lub administracyjnego?

*

*

*

Po ześrodkowaniu władzy rozprasza się odpowiedzialność. Jest to autokracja, złagodzona przez nieład.

Nie istnieje obecnie we Francji żadna odpowiedzialność, która nie byłaby podzielona, z kolei znów podzielona i rozdrobniona w nieskończoność. Połowa ustaw nosi podpis czwartej części ministrów, a troska o jej zastosowanie obciąża dwa tuziny urzędników.

I tu dopiero jest najgorszy skandal. Rozejrzawszy się, spostrzegamy na rachunku każdego winowajcy zaledwie pozór winy i cień błędu. Nie pozostaje nic innego, jak złożyć wszystko na karb złośliwych mocy i pan Badin wykrzykuje, jak niegdyś p. Bovary:

— To jest wina przeznaczenia!

Nikt nie wykonał swego zadania, lecz każdy spełnił swój obowiązek.

VI.

Próbka urzędowania bez zobowiązań i sankcyj.

Pewnego dnia p. Juljan Grévy, który był wzorem uprzejmego teścia i oszczędnego prezydenta, spostrzegł się, że rodzina Wilsonów miała zbyt szczupłe pomieszczenie w Pałacu Elizejskim. Starał się więc oddać do rozporządzenia swego zięcia apartamenty obszerniejsze i wspanialsze.

Sprowadził architekta oraz plan Pałacu Elizejskiego i począł badać. Ale okazało się, że niezmiernie trudno jest znaleźć wolny lokal. Tu znajdował się sekretarjat, tam lokale służbowe, ówdzie kordegarda. Wkońcu prezydent znalazł lokale od strony ulicy l'Elysée.

— A tam? — zapytał.

— Tam — odpowiedziano mu — znajduje się mieszkanie nauczyciela.

— Jakiego nauczyciela?

— Tego nie wiem: nauczyciela.

P. Grévy uparł się, aby „zaokrąglić stan posiadania” swego zięcia i nie odstąpił od tego; ta od-

powieść nie zadowoliła go. Kazał sprowadzić nauczyciela.

— Pan jest nauczycielem?

— Tak, Panie Prezydencie.

— Czyim nauczycielem?

— Nauczycielem pałacowym.

— Czem pan się zajmuje?

— Mam zaszczyt być do rozporządzenia Pana Prezydenta.

— Ależ ja pana nie potrzebuję.

— Zechce mi Pan Prezydent wierzyć, że jestem zrozpaczony z tego powodu.

— Kto panu pozwolił korzystać z lokalu pałacowego?

— Pan marszałek Mac Mahon.

— Jak dawno temu?

— Dziesięć lat.

— No więc, kochany panie, bardzo żałuję, ale potrzebny mi jest apartament, który pan zajmuje, i proszę o oddanie mi go.

— Niestety, Panie Prezydencie, Pan jest tu gospodarzem i muszę mu być posłuszny, choć z bólem serca! Za jednym zamachem pozbawia mnie Pan tytułu i mieszkania. A jednak jestem przekonany, że nie zawiniłem w niczem.

— Ależ pan nie tu nie ma do roboty!

— Przecież nic złego nie robię.

— Czego pan więc chce?

— Mógłby Pan, a może nawet ośmielić się powiedzieć: powinienby Pan dać mi jakąś rekompensatę.

— Za co mam dać rekompensatę?

— Za to, co otrzymywałem dotąd.

— Ależ nie miał pan do tego żadnego prawa.

— Jednak otrzymywałem.

Pan prezydent Grévy był mężem stanu. Uznał to rozumowanie. „Nauczyciel Pałacu Elizejskiego” został mianowany audytorem Rady Stanu.

Znajduje się tam dotychczas. Ponieważ jednak wiele czasu odtąd upłynęło, otrzymał awans: jest dziś radcą. I wszyscy są tego zdania, że nominacja jego była jedną z najbardziej normalnych i najbardziej zasłużonych.

*

*

*

Zaryzykujemy określenie, że jest to „typowa karjera”.

Państwo nie wymaga od tych, których zatrudnia, ani inteligencji, ani fachowości, ani cnót, ani talentu. Wymaga tylko, iżby mieli nabyte prawa. Mało mu zależy na tem, w jaki sposób te prawa zostały nabyte: z chwilą, kiedy dostałeś się na jakąś posadę — choćby przez omyłkę, oszustwo lub podstęp — twe prawa do niej są święte i z wyjątkiem bardzo rzadkich wypadków pozostajesz na niej przez całe życie.

Jeśli zauważono, że nie nadajesz się do żadnego zajęcia — wszystko bywa — albo jeśli po prostu miejsce twoje jest komuś potrzebne, muszą ci dać rekompensatę. Jeśli stajesz się nie do zniesienia na swym urzędzie, dadzą ci awans.

Lecz możesz bezkarnie siać zniszczenie w urzędzie, do którego należysz, wypaczać funkcje, które masz spełniać, a nawet narażać losy narodu; nikt ci nic zrobić nie może; prawa twoje są nabyte; nawet prawo niszczenia Państwa. Nikt nie ma możliwości wywłaszczenia cię.

To też p. Emanuel Brousse może pisać: „Czytajcie w Dzienniku Urzędowym listy przesunięcia do wyższej klasy, awansów, podwyżek pensyj, listy odznaczeń. Czy widzieliście tam kiedy listy odwołań z urzędu? Nigdy. Wciąż się odznacza, nie odwołuje się nigdy”.

*

*

*

Ludzie dobrej woli będą zdania, że taka jest logika naszej republiki. Własność jest święta. Uchwaliła ją rewolucja i odtąd jest to rzecz niewzruszona. Jeśli uznaje się dobra nabyte, czyż nie należy z tego samego powodu, a nawet tem bardziej, uznawać prawa nabyte? Czyż majątek, który kupiono za pieniądze, ma być mniej cenny od stopnia uzyskanego pracą?

Można się zgodzić na to. Jednakże bywają dobra, które tracą wartość, domy, które się wala, fortuny, które upadają. Nigdy żadna zasada, ani tem bardziej żadna rewolucja, nie znalazła sposobu przeszkodzenia temu. Z tego samego powodu bywają prawa, które zanikają. Może się wydać przykre pozbawienie urzędnika jego posady i może jedynego zarobku z powodu jakiegoś przewinienia, lecz skoro to jest nieodzowne?

Narzuca się tu pytanie zasadnicze.

Czy urzędnik jest dla urzędu, czy też urząd stworzony został dla urzędnika?

Nasza demokracja rozstrzyga je bez trudu i skłania się do tego drugiego określenia. W ten sposób realizuje za jednym zamachem najśmielsze marzenia urzędnika: państwo bez zobowiązań i sankcyj, takie, którego koncepcję mógł powziąć filozof Guyau *), a ulepszyć król d'Yvetot **).

Pomimo to, wszyscy mężowie stanu, a nawet nietylko oni, głoszą z całą powagą konieczność „rządu silnej ręki”.

Miejmy odwagę to powiedzieć: rząd, który rządzi, to rząd, który odwołuje urzędników.

Ale trzeba wówczas przekładać dobro kraju nad dobro urzędników — a jakież minister ośmieliłby się to uczynić?

*) Autor dzieła „Moralność bez zobowiązań i sankcyj”.

**) Tytuł średniowiecznego władcy feodalnego małego księstwa francuskiego.

VII.

Zawód bez przepisów i gwarancyj.

Sanckje nie są zorganizowane, awanse zaś tem bardziej. Minister nie może ukarać winnych, ale może skrzywdzić niewinnych. Całe nasze ustawodawstwo utworzone jest na korzyść jednostek gorszych.

Istnieją poważni ministrowie, którzy uważają się za uczciwych ludzi, ponieważ nigdy nie zdefraudowali dla siebie ani grosza. Lecz zato ograbili budżet na korzyść swej rodziny i krewnych. Wzruszająca okoliczność: sympatja publiczności staje najczęściej po ich stronie. Jesteśmy im prawie tak samo wdzięczni za to, że nie kradli na swoją korzyść, jak i za to, że tak hojnie sieli radość w swem otoczeniu. Ta pobłażliwość ma niemiłe następstwa: potrzeby polityków mają, pomimo wszystko, swoje granice. Znane są natomiast rodziny np. w Gaskonji, których potrzeby są bezgraniczne.

Bardzo byłoby pożądane prawo, któreby miało tę konsekwencję, iż sprzeniewierzenie wyparłoby

nepotyzm; a wdzięczne społeczeństwo powinno rozdzielać nagrody państwowe tym cnotliwym ministrom, którzy bez oszustw i wykrętów łupili-by państwo tylko na własną korzyść.

Niestety, dalecy jesteśmy od tego. Prawo do protekcji jest dziś starannie zorganizowane: nepotyzm działa jako instytucja państwowa i ma swoje tradycje.



Zdarza się nieraz, że urzędnicy rozżaleni kierują skargi do Rady Stanu i zmuszają ministrów do odwołania niektórych zarządzeń. Są to jednak przejściowe bunt, środki przymusu w przypadkach zbyt jawnej niesprawiedliwości.

Inne przypadki niesprawiedliwości utrzymują się natomiast i kumulują. Mówi się od czasu do czasu o ustawowym określeniu pragmatyki urzędniczej, ale w rezultacie kończy się wszystko na wydawaniu dekretów. Trzeba przyznać, że wydaje się je hojnie.

Czy wiecie, ile było od lat trzydziestu dekretów, organizujących pragmatykę urzędniczą?

Sto pięćdziesiąt trzy!

— I pomimo to, urzędnicy nie są zadowoleni, powiecie, i nie czują się dostatecznie zabezpieczeni przed samowolą ministrów? Otóż nie, i to dla bardzo prostej przyczyny: ponieważ przy układaniu tych przepisów współpracowali wszyscy, oprócz nich samych, i dekrety te przyniosły korzyść wszystkim, tylko nie im.

Nigdy się prawie nie zdarza, iżby minister, chcąc dokonać prawidłowej nominacji, podpisał nowy dekret: najczęściej bywa to wtedy, gdy zmuszony jest jakiejś paradoksalnej nominacji nadać pozory sprawiedliwości. Jeśli zdarzy się, że jakiś wyższy urzędnik ma chętkę na stanowisko zbyt już poważne, przeprowadza się to, ogłaszając odpowiedni przepis, w którego ramach należy odtąd, chcąc zajmować to stanowisko, wypełnić tyle drobiazgowo określonych warunków, że tylko już ten kandydat właśnie będzie mógł, może jedyny w całej Francji, pokusić się o to.

I minister podpisuje z powagą dekret, decydujący, że, ażeby móc otrzymać stanowisko „mamamouchi“¹⁾, należy przebyć trzy lata i cztery miesiące w administracji, otrzymać niegdyś w szkole nagrodę za łacińskie wiersze, znać esperanto, być rudym i posiadać nie więcej, jak dwadzieścia cztery zęby.

Wobec tego, nie można mieć za złe urzędnikom, że sto pięćdziesiąt trzy zarządzenia tego rodzaju nie wystarczają im dla zapewnienia spokoju.

*

*

*

Metody administracji dadzą się tak streścić: poszanowanie praw nabytych, nawet w przypad-

¹⁾ Termin arabski na określenie niedołężnego urzędnika.

ku, gdy te prawa przestały zasługiwać na szacunek; zorganizowanie protekcji, która przedewszystkiem godzi w niewinnych.

Żadnych sankcyj przeciwko złym urzędnikom.

Żadnych gwarancyj dla dobrych.

Ministrowi odjęto prawo karania pierwszych i nagradzania drugich. Poczem powierzono mu trud rządzenia nimi wszystkimi.

VIII.

Abdykacja.

Po pewnym czasie ogólny bezwład biurowy ogarnia i ministra...

Pograżony w szpargałach, zagubiony w konfliktach urzędowych, odosobniony w swej władzy, zmuszony do znoszenia rutyny biurowej, poddaje się.

Kiedyż miałby możliwość zajęcia się całością? Jeśli przypadkiem znalazłaby się wolna chwila, w jaki sposób mógłby temu podołać? Groźba reformy zakłóca ogólny spokój; perspektywa nowej pracy wzbudza bunt tego personelu urzędników, którzy upierają się przy swych drobiazgowych czynnościach skomplikowanych i niepotrzebnych. Urzędnicy ci, przeważnie nawet inteligentni, wolą najbardziej przygniatającą rutynę od najmniejszego wysiłku.

A zresztą któż żąda od ministra jakiegokolwiek przedsiębiorczości? Każde przedsięwzięcie pociąga za sobą mnóstwo niesłychanych trudno-

ści. Wszyscy zainteresowani, którym ono szkodzi, wszyscy ci, którym nie przynosi korzyści, a nawet ci, którym przynosi, ale niedostateczną, buntują się naraz. W jakim więc celu — zapytamy — mieliby się narażać ministrowie na podobne przykrości? Najodważniejsi zaniechają tego, a najbardziej przedsiębiorczy znużą się.

Przestają rządzić, podejmują tylko środki zaradcze. Przywykają działać tylko pod naciskiem wypadków, pod grozą skandalu lub pod przymusem terminów. Reformy uchwała się tylko w przeddzień wyborów, aby je przerobić naza jutrz. Wielkie umowy z Bankiem Francuskim lub z towarzystwami eksploatacyjnymi odnawia się na pośpiesznie odbywanych posiedzeniach w przeddzień ostatecznych terminów. Wystarczyło, że znaleziono w kwestji budżetowej wybieg dwunastu prowizorjów, ażeby budżety opóźniały się o sześć miesięcy.

*

*

*

Wkońcu wytwarza się taki niezwykły fenomen: minister przestaje być delegatem parlamentu, któremu powierzono kierowanie pracą urzędników, organizację ich czynności, jednym słowem: rządzenie; staje się więźniem urzędów, nagina się do ich metod, akceptuje ich regulamin wewnętrzny.

Nie posiada władzy, ponosi odpowiedzialność; i to wystarcza dla jego dumy. Może on

nie mieć pojęcia o swych czynnościach, ale odpowiada za nie i wtedy właśnie czuje się najściślej związany z ludźmi, których życzeniom się poddaje, lecz którym wydaje rozkazy. Im mniej jest władcą, tem więcej odczuwa radość z tego, że jest szefem.

Staje się solidarny, choćby przeciw parlamentowi, z ludźmi, których parlament polecił mu kontrolować. Obecnie pozostaje mu jedynie ta rola, że ochrania ich swoją odpowiedzialnością zwierzchniczą, że ich broni nawet w przypadkach przewinień i że zapewnia im w potrzebie bezkarność.

I nie może być inaczej: to, co oni zrobili, on zatwierdził; jakże mógłby ich potępić. Jest niewolnikiem mocy, którą mu niby przypisują i której ciężar sam pragnie dźwigać. A że nikogo tem nie zwiedzie, to nie nie znaczy: dzięki tym pozorom duch władzy unosi się nad cieniem demokracji.

SADOWNICTWO

C z ę ś ć p i e r w s z a.

ORGANIZACJA WĄTPIENIA.

I.

Sumienie sędziego.

Sądownicy są prawie zawsze nieskazitelni. Jest to tem piękniejsze, że dzieje się wbrew wszelkiej rozumnej racji.

Są oni powołani przypadkowo i mianowani przez ministra wyłącznie dzięki różnym intrygom. Pochodzą najczęściej z Quartier Latin, gdzie przeżywali ryzykowną młodość studentów prawa. Rzadko kiedy mają duży majątek.

Najczęściej rozpoczynają karierę, jako zastępcy sędziów, i tkwią czasem na tem stanowisku dziesięć do piętnastu lat, nie otrzymując żadnego wynagrodzenia. Po upływie tego czasu dostają minimalną pensyjkę.

Stanowisko ich wymaga pewnej reprezentacji. Muszą też dbać co najmniej o godny wy-

gląd zewnętrzny. Bywają wszak, zwłaszcza w Paryżu, w wystawnych domach kilku zamożnych kolegów i znanych adwokatów. Poznają tam wszelkie pokusy życia.

Odnoszą się ze sceptycyzmem do swego otoczenia, na co wpływa też w dużym stopniu to, że przyzwyczajeni są patrzeć na ludzkie błędy i występki.

Wiedzą oni, że urzędy Sprawiedliwości nie różnią się od innych; nie obawiają się więc zbyt-
nio sankcyj i są przekonani, że zasługi nie wystarczą do otrzymania nagrody.

Rozporządzają ogromną władzą, która zdaje na ich łaskę honor i majątek podsądnych.

Nie dają zatem żadnych gwarancyj, nie znają żadnych hamulców, nie pobierają pensyj, podlegają wszelkim pokusom, rozporządzają wielką mocą i pomimo to wszystko są nieskazitelni. A ponieważ nie ich do tego nie zmusza, ani nie zachęca, należy przypuszczać, że są tacy z zamilowania.



Dawniejsi sędownicy mogli, niezbyt błędząc, wierzyć w boski charakter swej sprawiedliwości, ponieważ przedewszystkiem wierzyli w Sprawiedliwość boską. Dzisiejsi są w trudniejszym położeniu: brak im probierza.

A jednak hołdują tej samej wielkiej tradycji. Podtrzymują nieco obyczajów dawnego są-

downictwa, zachowując jego ubiór. Coprawda dawne gronostaje na szkarłatnych togach zamieniły się na zwykłe króliki, które jednak pamiętają, że były kiedyś gronostajami.

Tak więc, choć nie mają już sędziów, ściśle biorąc, dawnej wiary w Sprawiedliwość, to przecież pozostał im przesąd.

Usunięto krucyfiksy z sal sądowych; jednak nie zabrano jeszcze ram, w których się znajdowały. To jest symboliczne. W braku religji istnieje pewien mistyczny stan umysłów, pozwalający jeszcze sędziemu prowizorycznie wierzyć w swą sprawiedliwość.

Tem się zapewne tłumaczy, że codzienne stykanie się ludzi jednego zawodu, które w innych środowiskach wywołuje tyle ustępstw i kompromisów, tutaj staje się źródłem moralności.

Ludzie ci mają inną namiętność, niż chęć osiągnięcia korzyści: pożądamy szacunku i cenią swój honor. Poczucie solidarności korporacyjnej zdaje się tu brać rewanż. Istniałby więc zawód, w którym zachowałaby się troska o wartości wyższe, niż obfite dochody.

II.

Rzemiosło.

Choć tak wysoko cenią sędziowie swój zawód, jest to jednak tylko zawód. Żyją z niego kiepsko, lecz w każdym razie żyją. Nie są wprawdzie sprzedajni, lecz są za to ambitni; nie mając żadnych zysków, mają żądzę zaszczytów.

Sprawiedliwość, bardziej jeszcze, niż polityka, powinna być posłannictwem. Jednakże jest ona zaledwie drogą kariery, a nieraz nawet tylko środkiem zarobkowania.

Posłuchajcie sędziów, uskarżających się na ciężkie czasy. Skargi ich niczem się nie różnią od skarg zrzeszonych urzędników, lub robotników bez zatrudnienia. Dowodzą nam w obszernych artykułach, że ich uposażenia są najniższe, że wysłużony sędzia jest gorzej wynagradzany, niż dwudziestoletni podporucznik, że sytuacja finansowa sędziego apelacyjnego, prezesa izby lub prokuratora jest o wiele gorsza, niż komisarza po-

licji, a poborca kantonalny jest lepiej opłacany, niż prezes sądu.

— W tych warunkach — oświadczają kolejno, wszyscy ministrowie sprawiedliwości — grozi to, że stanie się niemożliwe dopełnianie szeregów sądownictwa.

Stan umysłów wywołany taką sytuacją nie jest bynajmniej trudny do zgłębienia.



Prawdą jest, że dziś wstępuje się w szeregi sędziów tak, jak wstępowałoby się do urzędu podatkowego lub monopolu tytoniowego.

Do sądownictwa wstępuje się nawet często z mniejszym zapałem. Mieliśmy wszyscy w szkołach kolegów, którzy pragnęli zostać oficerami lub lekarzami. Nie mieliśmy takich, którzy chcieli być sędziami.

Ten zawód najbardziej odpowiedzialny ze wszystkich i do którego żadne przygotowanie nie wydaje się wystarczające, jest jednym z tych właśnie, na które decyduje się tylko z konieczności, gdy nie znalazło się nic innego, a gdy jest się już w tym wieku, gdzie trzeba „mieć jakąś pozycję”, lub też poprostu zapewnić sobie byt.

Zwykle sędziowie rekrutują się z pośród adwokatów. Lecz czy widział kto kiedy adwokata, który, mając nadzieję zdobycia rozgłosu przed kratkami, starał się dostać do sądownictwa lub prokuratury?

Zostaje się sędzią tak, jak zostawałoby się krytykiem literackim lub dramatycznym. Czyż można decydować o życiu i honorze obywateli tak, jak decydowałoby się o wartości sztuki lub książki? Ta straszliwa rzecz, jaką jest wymiar sprawiedliwości, staje się rzemiosłem podobnem do innych, w którym trzeba starać się urządzić sobie życie i dorobić się.

III.

Legalność.

Sędzia, dbający o spokój, winien unikać wyrzutów sumienia.

Dramaty, które się odgrywają w duszy sędziego, byłyby bardzo wzruszające, gdyby nie to, że nasze instytucje sądowe są jak gdyby stworzone w tym celu, aby sędzia mógł uniknąć konfliktu z własnem sumieniem.

Z chwilą, gdy ludzie przestali być zbyt pewni „prawa moralnego, istniejącego w ich sercach”, stało się konieczne, aby stosowali się po prostu do prawa pisanego, które się znajduje w kodeksie.

W ten sposób powstała na świecie idea legalności, która ułatwiła osobliwie zadanie sędziego.

*

*

*

Nasze sądownictwo tak jest zorganizowane, że zbrodnie przydzielone są przysięgłym — sę-

dziom przypadkowym, którzy w całym tego słowa znaczeniu sądzą, podczas gdy występki należą do sędziów zawodowych, sądzących według litery prawa. Pierwsi wypowiadają się „według sumienia”, drudzy orzekają poprostu na mocy brzmienia artykułów.

Z punktu widzenia czystego rozsądku, odwrotne ujęcie sprawy byłoby bardziej logiczne: możnaby słusznie mniemać, że właśnie w wypadkach najpoważniejszych ustawodawca nie chciał nie pozostawić samowoli ludzkiej. Trzeba więc szukać dla tego przepisu innej racji, niż racja sprawiedliwości; i rzeczywiście, racją tą jest poprostu wygoda.

Można narzucić tak ciężką udrękę sędziom przysięgłym, którzy zaledwie o kilku sprawach w całym swym życiu wypowiadali opinię; czyż możnaby ją nałożyć na sędziów zawodowych, którzy oceniają ich po dwadzieścia w ciągu jednego dnia?

To też sędzia zawodowy jest zwolniony z obowiązku sądenia według sumienia: wystarcza mu sądenie według prawa. Nie bada on słuszności, lecz rozważa teksty kodeksu i konfrontuje je z precedensami. Dowody najwięcej przekonywujące nie mogą być brane pod uwagę, jeśli mają przeciw sobie orzeczenie trybunału kasacyjnego. Tak więc, sędzia może mieć przy studjowaniu sprawy zaciekawienie uczonego lub wątpliwości filozofa, lecz nie doznaje już nigdy niepokoju miłośnika sprawiedliwości.

*

*

*

Legalność, która jest gwarancją podsądnych, jest, być może, w wyższym jeszcze stopniu ochroną sędziów.

IV.

Ewolucja prawa.

Niestety, prawo, które sędziowie obowiązani są stosować, nie jest bynajmniej niezmiennie: podlega ono wszelkim wpływom polityki, a nie-raz nawet zależne jest od walk partyjnych. Kodeks zmienia się nie tylko wraz z obyczajami, ale i wraz z rządem. Sprawiedliwość nie przedstawia się jednakowo w sprzecznych pojęciach ludzkich: istnieją tendencje sprawiedliwości, podporządkowane tendencjom partyj.

Czyż mamy prawo zabronić sędziemu liczenia się z temi ewolucjami, i czyż można oburzać się, gdy w jakimś wyroku dochodzi do głosu przeczenie jakiegoś porządku prawnego, który się dopiero wytwarza?

Jeżeli sędzia wie, że przygotowuje się nowa ustawa, uprawnijająca do poszukiwania ojcostwa, czyż musi stosować niewzruszenie dawne prawo, które będzie tego zabraniać jeszcze tylko przez kilka dni.

Aby móc przeniknąć ducha prawa, sędzia musi znać intencje ustawodawcy.

*

*

*

Otóż, bywają ustawy, dotyczące się ogólnego porządku, nad którymi ustawodawcy dyskutują w pogodnym nastroju; ale są i inne, o czysto politycznym charakterze, które są ogłaszane w atmosferze rozpętania namiętności.

Czyż sędzia, stosując takie ustawy bezstronnie, nie naraża się na wypaczenie ich ducha, a nawet, czy jego umiar nie grozi przeistoczeniem intencji rozjuszonego ustawodawcy?

Pomiędzy rządami, następującymi po sobie kolejno od 1901 r., nie było zapewne dwóch nawet, któreby w taki sam sposób stosowały ustawę o stowarzyszeniach.

Tak więc, ministrowie sprawiedliwości interpretują ducha ustaw, a sędziemu pozostaje tylko poddanie się ich sprzecznym interpretacjom. Cóż robić! Orzecznictwo podporządkowane jest polityce.

Niewątpliwie, sprawiedliwość nie powinna być narzędziem partji, lecz byłoby wręcz zgubne, gdyby się okazała narzędziem opozycji. Sędzia, który stosuje ustawę, nie może się uważać za zupełnie niezależnego od polityka, który ją opracował.

Tak więc, ostatecznie, sędzia nie jest obowiązany liczyć się z pobudkami podsądnych, lecz nie może nie znać pobudek prawodawców i reprezentującego ich rządu. Obojętny jest na to, co mówią o nim jednostki, ale nie jest obojętny na to, co mówią o nim partje.

V.

Rozprawa.

Nawet gdy sędzia nie ma potrzeby stosować jednej z tych nieokreślonych ustaw, zepsutych przez politykę, brakuje często wyraźnego artykułu, któryby stał się podstawą wymierzania przezeń sprawiedliwości.

Argumenty, nawet prawnicze, na korzyść jednej bądź drugiej strony wypowiada się po obu stronach kratek sądowych. Nikt nigdy nie jest bezwzględnie winny i nikt nie ma bezwzględnej słuszności. Poglądy ludzkie, tak sprzeczne, jeśli chodzi o normy moralności, przeciwstawiają się sobie również z powodu jakiegoś artykułu kodeksu. Całe orzecznictwo jest pełne niepewności.

Proces, jakiby nie był, jest konfliktem dwóch stron jednakowo przekonanych o swej słuszności. Niema piniacza, któryby nie był przekonany, że ma rację; niema też przestępcy, któryby nie był pewny, że istnieje choć jedna okoliczność tłumacząca go; i rzeczywiście, tak jest zwykle.

*

*

*

W procesie cywilnym interesy prawne stron są reprezentowane przez dwóch adwokatów.

W sprawie kryminalnej z jednej strony krątek znajduje się adwokat, a z drugiej przedstawiciel oskarżenia publicznego ¹⁾.

Niema tak złej sprawy, ani tak strasznej zbrodni, dla którejby nie można znaleźć adwokata. Również prokurator lub jego zastępca zmuszony jest podtrzymywać oskarżenie, choćby mu się nawet wydało najbardziej niesprawiedliwe.

Właściwie nie oskarżyciel publiczny przygotowuje oskarżenie, lecz sędzia śledczy. On to tylko wyrabia sobie przekonanie o sprawie i on oskarża. Prokurator nie potrzebuje wyrabiać sobie przekonania, a tylko domaga się kary.

Prokurator w stosunku do sędziego śledczego znajduje się ściśle w tem samym położeniu, co adwokat w stosunku do podsądnego: jeden mówi w imieniu społeczeństwa, drugi — w imieniu przestępcy; ale żaden nie ma prawa „zawieść zaufania klienta”. Zdarza się, zapewne, że pro-

¹⁾ W sprawach cywilnych występuje również oskarżyciel publiczny, lecz ma za zadanie jedynie stawianie wniosków; jest to, że tak powiem, sędzia dodatkowy. Podobnie można mieć w sprawach karnych adwokata, który reprezentuje powództwo cywilne, lecz rola jego jest tak samo drugorzędna.

kuratorzy odstępują od oskarżenia, lecz nie dowodzi to wcale rewizji pojęć; przyznają się jedynie do niemożności przeprowadzenia swej pierwotnej koncepcji.

Oskarżyciel publiczny nie ma obowiązku przekonać sędziego; winien jedynie przedstawić pewną ilość argumentów. Dowodzi on winy tak, jak adwokat za chwilę będzie dowodził niewinności. Przekonanie jego nie gra tu żadnej roli.

VI.

Oskarżenie.

Najpotężniejszym człowiekiem we Francji jest — jak mówią ogólnie — sędzia śledczy.

Jest to pogłoska, którą rozpuścili sami sędziowie śledczy. Już podczas monarchji lipcowej jeden z nich w ten sposób wyjaśniał Villemessant'owi swą władzę:

— Mogę działać, nie podlegając żadnemu przełożonemu; jestem tak wszechwładny w swym gabinecie, jak kapitan na pokładzie swego okrętu; mam prawo życia i śmierci i, jeśli mi się podoba, mogę jutro aresztować księcia Orleańskiego.

— Postąpiłbyś niesłusznie — odpowiedział Villemessant — bo jego ojciec jest bardzo porządnym człowiekiem.

W rzeczywistości, sędzia śledczy nie aresztuje księcia Orleańskiego, a nawet stara się aresztować jak najmniej osób dlatego, że obawia się różnych niemiłych historyj, lub poprostu dlatego, że uważa, iż jest już obciążony dostatecznie pracą.

Sędzia śledczy ma w rzeczywistości tylko jedno główne zajęcie: działać pośpiesznie.

Sędzia śledczy okręgu Sekwany otrzymuje rok rocznie do półtora tysiąca spraw, które wymagają badań, śledztw, świadków i konfrontacyj.

Aby uporać się z tak olbrzymią pracą, nie ma on zwykle innego sposobu, jak tylko polegać na swem wrażeniu, a nawet niemal na swej fantazji. Bywają dni, że zmuszony jest jednym cięciem rozstrzygać stos spraw zagmatwanych: odsyła wtedy akta do sądów, lub klasyfikuje je na chybił trafił.

Takiego dnia najchętniej umarza sprawy.

Umorzenie sprawy, to ostatnia ucieczka Sprawiedliwości. Zadawalnia wszystkich. Oskarżonego, którego uwalnia, i sędziego, któremu zmniejsza pracę.

Tylko fakt zaaresztowania niewinnego kwalifikuje się jako „błąd sprawiedliwości”. Fakt, że zostanie na wolności winowajca nie jest „błędem sprawiedliwości”.

Być może, że sędzia śledczy jest „najpotężniejszym człowiekiem we Francji”. On to bowiem bierze na siebie, przy minimum zastanowienia, maksimum odpowiedzialności.

VII.

Obrona.

Kiedy absolwent prawa wpisuje się do adwokatury paryskiej, wręczają mu maleńką książeczkę: „Skrót zwyczajów i przepisów dla zawodu adwokackiego”, napisaną przez p. Cresson, byłego dziekana Rady Adwokackiej.

Pouczają go tam, że musi być „uczciwy”, t. zn., że nie wolno mu podpisywać weksli, nawet jeżeli może je wykupić; „niezależny”, t. zn. że nie może przyjąć na siebie żadnej odpowiedzialności w sprawach, których broni; „bezinteresowny” t. zn. że nie wolno mu wyszukiwać sobie klienteli i nie wolno mu przyjmować honorarjów, a jedynie dobrowolne datki od klientów; „koleżeński” wreszcie, czyli, że nie wolno mu nigdy poświęcać interesów swych kolegów dla interesów swych klientów.

Pouczają go nadto, że nie ma prawa mieszkać w pokojach umeblowanych, że nie może mieć tabliczki na drzwiach, ani otomany w gabinecie

i że nie wolno mu podpisywać pokwitowania za honorarjum.

Przepisy co do mieszkania, tabliczki i otomany są bezwzględne; także i te, które odnoszą się do stosunków z kolegami.

Co do innych są ułatwienia.

Bezwątpienia, adwokat nie ma prawa wyznaczać „ceny” za obronę, lecz ma prawo, a nawet obowiązek, wyznaczenia pewnej „prowizji”. Nie może podpisywać pokwitowań, lecz ma prawo wysłać poświadczenie odbioru, w formie korespondencji towarzyskiej; a ponieważ taki papierek mógłby kiedyś być przedstawiony w sądzie, nie wolno mu bezwzględnie nalepiać znaczka stemplowego. I trzeba przyznać, że są to bardzo subtelne odcienie.

*

*

*

Przez zaakceptowanie zasadnicze tych regul istniejących, nowy absolwent prawa zostaje przyjęty na łono palestry.

Staje się on odtąd „pomocnikiem Sprawiedliwości”. Takie wyświęcenie wydaje się dziwne, bo jeśli adwokat rzeczywiście służy Sprawiedliwości, to dlaczego wynagradza go klient?

Powstaje nieraz pytanie, czy adwokaci mogą wybierać sprawy, których bronią. To pytanie jest bez sensu: gdyby to adwokaci wybierali sprawy, wybieraliby wszyscy te same. Odwrotnie, to klienci wybierają sobie adwokatów; zresztą wia-

domo, że każda sprawa znajdzie wkońcu swego obrońcę.

Adwokat służy Sprawiedliwości w tem znaczeniu, że jest pośrednikiem między podsądnym, który nie zna swych sędziów, a sędziami, którzy nie znają sprawy podsądnego.

Adwokaci, twierdząc, że zawód ich, to posłannictwo, — przesadzają.

Adwokat jest, być może, „pomocnikiem Sprawiedliwości”, lecz jedynie jako jej urzędnik nadetatowy.

VIII.

Organizacja wątpienia.

W tych warunkach Sprawiedliwość nie posiada probierza.

Sędzia, biedny człowiek, którego żadne specjalne światło nie oświeca, szuka poomacku prawdy w chaosie ustaw.

Napróżno usiłowano wyposażyć abstrakcyjną ideę sprawiedliwości w konkretny system prawny. W obliczu sumienia ludzkiego, które nie posiada teraz pewności, prawo pisane wydaje się pełne sprzeczności.

Usiłując rozpoznać ducha przepisów, wszechyna się rozprawę: ale z dwóch występujących adwokatów, przedstawiciela strony i przedstawiciela rządu, każdy spełnia swe zadanie: atakuje lub broni. Żaden z nich nie usiłuje wykryć poprostu prawdy.

Legalność pozwoliła istnieć wątpieniu, rozprawa je organizuje.



— Co to jest prawda? — zapytywał już Piłat Poncjusz, sędzia aż nazbyt osławiony, który odmówił podobno ocalenia niewinnego, jednak naogół zrobił wiele, nie skazując go.

Od czasów Piłata istnieje wątplenie. Orzecznictwo jest źródłem tyluż sprzeczności, co sumienie.

Odtąd droga jest otwarta dla wszystkich interwencyj.

Część druga.

WPŁYWY.

I.

Polityka.

Koniec końców sędzia, będąc urzędnikiem, jak każdy inny, zależy od rządu z tego samego tytułu, co inni.

Być może, zależy nawet więcej. Nie szuka on namiętnie korzyści; lecz czyż przez to nie może, bardziej namiętnie, niż inni, szukać zaszczytów? Zaszczytów zaś oczekiwać może jedynie od Państwa; czyż nie jest rzeczą naturalną, że oczekuje od Państwa wiele?

Sędziowie, nieprzekupni wobec podsądnych, są podatni na wpływy Rządu. Ci, których nie skusiłoby ofiarowanie fortuny, gotowi są nieraz wszystko poświęcić, znęcani czerwoną togą.

Nawet gdy chodzi o stosowanie prawa, nie mogą, jak to już powiedzieliśmy, pozostać zupełnie obojętni na wpływy polityczne. Jakżeby mogli nie liczyć się z niemi, gdy chodzi o zjednanie sobie ludzi, od których zależy ich cała przyszłość.

*

*

*

Zresztą, tak jak sędzia potrzebuje rządu, tak rząd często potrzebuje sądownictwa.

Cała kronika skandaliczna Trzeciej Republiki składa się właśnie z kompromitacyj i konfliktów, wynikłych między władzą wykonawczą a sądową. Krach „Związku Powszechnego”, Panama, sprawa Dreyfusa, sprawa Humbertowej, sprawa Rochette — są to epizody działalności sądownictwa nadsekwańskiego w ciągu lat trzydziestu.

Odkąd karząca sprawiedliwość odgrywa w tym kraju główną rolę w polityce, czyż nie jest w rezultacie naturalne, że władze polityczne uważają się za powołane do kontrolowania jej?

Gdy Minister Sprawiedliwości żąda od prokuratora generalnego wskazania mu „pewnego” sędziego śledczego lub przewodniczącego, wie dobrze, w jakim znaczeniu zostanie zrozumiany.

Sędzia już awansowany jest z reguły znacznie mniej „pewny”, niż sędzia, który oczekuje awansu. Taki zaś, który wysłużył już lata do emerytury, bardziej jest niezależny od tego, który obawia się zwolnienia bez wynagrodzenia.

*

*

*

— Jednak, powiecie, jedna cecha conajmniej, odróżnia sędziego od urzędnika: jest on nieusuwalny.

Czy doprawdy sądzicie, że urzędnik nie jest nieusuwalny?

Nadto należy odróżniać między sędzią: sędzia, który sądzi, jest nieusuwalny, lecz prokurator, który domaga się kary, nie ma tego przywileju. Jeden zależy tylko od swego sumienia, lecz drugi zależy od ministra sprawiedliwości.

Ten drugi więc jest na łasce wszelkich sankcyj, pierwszy natomiast jest na łasce wszelkich awansów.

Sędziemu nieusuwalnemu gwarantuje się nietyle wolność, ile ewentualną bezkarność.

W ten sposób władza wykonawcza jest bezbronna właśnie w tych przypadkach, gdzie byłoby wskazane, aby mogła się srożyć.

Minister sprawiedliwości powiadomiony, że jakiś sędzia stał się niemożliwy na swem stanowisku, nie może mimo to przenieść go bez jego zgody; mówi więc sobie ze smutkiem: oto jeszcze jeden, któremu trzeba będzie dać awans.

*

*

*

Niema chyba aktów personalnych sądownika, któreby nie zawierały co najmniej dziesięciu rekomendacyj politycznych. I tylko biorąc pod uwagę te rekomendacje, ministrowie dokonywują przesunięć w sądownictwie. Niktby nie miał danych, iżby zarządzać sprawiedliwością z nieco wyższego stanowiska, gdyby nie był umiał uprzednio operować użytecznie swojemi stosunkami przyjacielskimi.

II.

Stosunki.

Panuje ogólne przekonanie, że może wystarczyć piękna mowa obrończa, aby ugruntować przeświadczenie sędziego. Dlaczego jednak mamy przypuszczać, że mowę obrończą można wygłaszać tylko przed kratkami sądowymi? Często lepiej trafi do serca jedno słówko przyjaciela, niż najdłuższa mowa.

Ustał już coprawda zwyczaj posyłania sędziemu upominków; zwyczaj delegowania do nich swych przyjaciół pozostał. A ponieważ sądownicy zawdzięczają wszystko protekcji, czemuż mieliby być nieczuli na zabiegi tych, którzy z kolei protegują.

Któryż to człowiek, choćby najbardziej uczciwy, nawet najmniej skłonny do pieniactwa, nie miał choć raz w życiu do czynienia ze sprawiedliwością swego kraju. Znając sądownika, który ma się zajmować tą sprawą, lub kogoś z jego bliskich, czy z pośród przyjaciół, trudno oprzeć się chęci, by go usposobić przychylnie.

Czyż sędzia ze swej strony może odmówić dla przyjaźni tego, co zgodziłby się bez wątpienia zrobić przez wdzięczność lub ambicję?

*

*

*

Pojęcia ludzi rodzą się z ich przesądów, lecz pozostają w zależności od ich stosunków towarzyskich.

Otóż ze względu na swoje stanowisko, sędownicy mają wielu przyjaciół. Choć niema już szlachty, wywodzącej się z sądownictwa, przecież nobliwy „świat” Pałacu Sprawiedliwości istnieje.

Polityk, który zaprasza swych kolegów, zabiera ich ze sobą do restauracji. Sędownik zaprasza do siebie; wymaga tego poszanowanie pozorów. Odkąd wielcy dygnitarze państwowi zaprzestali przyjąć, „panowie w togach” jedynie utrzymują domy otwarte. Sędownicy mają obowiązki światowe.

Spotyka się ich na przyjęciach oficjalnych, na próbach generalnych, na dancingach i na wyścigach. Stanowią oni integralną część tego środowiska mieszanego i dziwaczного, błyskotliwego i podejrzanego, które na mocy bardzo dawnego przyzwyczajenia nazywa się ciągle towarzystwem paryskim.

*

*

*

Na prowincji te obowiązki są jeszcze bardziej bezwzględne. Bale u prezesa sądu, to uroczystości których oczekują młode panny prowincjonalnego miasta, a typ młodego sędziego, poszukującego posady, został spopolitowany w komedji.

Sędziowie wykonują tam swe czynności między ludźmi, którzy ich znają i często są blisko z nimi związani.

Półowa sędziów sprawuje służbę sprawiedliwości w swem rodzinnem mieście lub co najmniej w miejscowościach przez siebie wybranych. Jedni życzyli sobie nominacji do miejscowości bliskiej ich interesów osobistych; inni pożenili się z córkami notariuszy lub adwokatów z okolicy; prawie zawsze zabiegali sami o stanowiska, które zajmują. Prawie wszyscy marzą o tem, aby pozostać jak najbliżej miejsca, gdzie ustabilizowali sobie życie.

Możliwe, że jako sędziowie są wyżsi ponad swary ludzkie; jako obywatele są wrażliwi na ploteczki swego miasta.

III.

Adwokat.

Dla adwokata jest kwestją honoru, iżby jego wiedza, doświadczenie i talent były zdolne przechylić w tę lub inną stronę przeświadczenie sędziego.

Czemu adwokat nie miałby prawa użyć dla dobrej sprawy, której broni, innych jeszcze środków prócz wymowy?

Ten zna ludzi, którzy mają wpływ na sędziów, ów jest ich przyjacielem, a tamten, który był ministrem i może nim zostać ponownie, będzie decydował o ich karierze.

Alfons Karr mówił o pewnym byłym ministrze, który wstąpił do advokatury:

„Nie powierzyłbym żadnej poważnej sprawy panu Vivien, gdyż musiałby jej bronić przed sędziami, którym z pewnością czegoś kiedyś odmówił za czasów swej władzy”.

Obecnie na szczęście już tak nie jest. Dzisiejsi sędziowie ani by myśleli mścić się za byłe-

go ministra na obrońcy. Wiedzą zbyt dobrze, że były minister jest najczęściej przyszłym ministrem: wolą go sobie pozyskać raz na zawsze.



Zresztą nietylko byli lub przyszli ministrowie rozporządzają wpływem na rozdział funkcij publicznych. Posłowie, urzędnicy przyboczni ministrów, ludzie na stanowiskach, ich krewni i bliscy interwenjują dziś w przesunięciach, które się dokonują w sądownictwie. Przypuszcza się powszechnie, że uzyskali przez to prawo do interwenjowania równie w procesach.

Bywa tak, że powód woli odstąpić od swego roszczenia, gdyż przeciwnik wybrał na obrońcę syna jednego z wyższych sędziów. Ostatecznie ów powód nie miał może racji. Adwokat polityk nie podlega tak bardzo wpływom, a sądownictwo nie jest tak służalcze.

Niewątpliwie sędzia wysłucha parlamentarystę z większą życzliwością, lub co najmniej z większą kurtuazją. Chętniej udzieli mu odroczeń lub ułatwień, ale na tem, lub prawie na tem kończą się jego uprzejmości.

Pewien adwokat tak określił tę sytuację:

— Poseł broni klienta, który chce wygrać sprawę, przed sędzią, którego chce przekonać i który wzajemnie chce mu się przypodobać. Najczęściej adwokat otrzymuje honorarjum, sędzia awans, a sprawa jest przegrana. Tylko klient pada ofiarą. Niewielkie to nieszczęście.

IV.

Środki administracyjne.

Nie wystarczy wymierzać sprawiedliwość; przedewszystkiem trzeba nią zarządzać. Tu już prawo nie wtrąca się nawet teoretycznie; tu znajdujemy się w dziedzinie zupełnej arbitralności.

Prezes sądu, który rozdziela akta pomiędzy izby, decyduje często w ten sposób o przychylnym lub nieprzychylnym losie skargi, gdyż sędziowie dwóch sąsiednich izb mogą mieć krańcowo sprzeczne poglądy na interpretację tej samej ustawy.

Ileżby można przytoczyć skarg, które zostały wycofane poprostu dlatego, że strona, która je wniosła, dowiedziała się nazwiska sędziego, który miał je rozstrzygać.

Przewodniczący, który z kolei ustala wokandy, wpływa również na przebieg rozprawy jeszcze przed jej przeprowadzeniem. Wystarczy często odroczenie, żeby ocalić przedsięwzięcia jakie-

goś finansisty, lub żeby nieuchronnie zrujnować interesy strony pozywającej. Bywają przypadki, w których termin wymiaru sprawiedliwości jest równie ważny, jak sam wymiar¹⁾.

*

*

*

Czy to znaczy, że trzeba skasować rozdzielanie spraw? Czy to znaczy, że należy znieść odraczanie? Prezes nie może wnosić wszystkich aktów do tej samej izby. Sędzia nie może sądzić jednego dnia wszystkich przydzielonych mu spraw.

Panurge byłby rozwiązał tę kwestję, zdając się na łaskę losu; istnieje jednak kwestja kompetencji, którą trzeba brać pod uwagę, i względny wygody, które przemawiają tu również. Pewien sędzia jest specjalistą w sprawach bankowych, a inny może być wmieszany w daną sprawę²⁾. Czy należy odrzucać a priori wszystkie odwołania adwokatów i obwinionych, lub też czy można uczynić zadość wszystkim? A czyż nie byłoby niesprawiedliwością dokonywać wyboru?

¹⁾ Parlament odbył trzy posiedzenia i wyłonił komisję śledczą jedynie, żeby spróbować określić, czy oskarżony Rochette nie skorzystał z większej ilości odroczeń, niż na to zwyczaj pozwalał.

²⁾ Prawo przewiduje nawet przypadki „podejrzenia ustawowego”, lecz ileż jest podejrzeń nie „ustawowych” wprawdzie, lecz które są z pewnością niemniej słuszne.

Trzeba więc sprawy rozdzielać pomiędzy sędziów i odraczać. Sędzia, który podejmuje te decyzje, może nie znać meritum sprawy: niemniej dotyka swą decyzją istoty sprawy.

W tym momencie, gdzie nie wydaje on jeszcze orzeczenia, czyż nie dobrze będzie oddać przysługę, jeśli nie podsądnym, to przynajmniej ich obrońcom? A jeśli nawet, w tej chwili, z tej lub owej strony dotrą do jego ucha jakieś podszpty, to czyż ma przed nimi uciekać? Ostatecznie wykonuje on w tej chwili tylko czynność administracyjną: jego uprzejmości nie przesądzają bynajmniej jego wyroków.

Jest to ciekawy moment z za kulis Sprawiedliwości, gdy sędownik, który ma się stać sędzią, jest tylko urzędnikiem. Rozdziela on jedynie pracę i nie trzeba mieć do niego pretensji, jeśli w tem rozdzielaniu stara się usilnie poprawić wyroki Przeznaczenia.

V.

Otwarta droga.

Wyłania się jeszcze tysiąc innych wpływów, które wypaczają wyrok sędziego: lektura, statystyka, sztuka tendencyjna, dowcip wystarczały często, iżby zburzyć całkowicie tradycję sądową.

Pewien dziennik opublikował protest przeciwko pobłażliwości trybunału w departamencie Sekwany, który zastosował dobrodziejstwo ustawy berenger'owskiej *) do wszystkich kleptomatów. Tegoż wieczoru pewna kleptomanka zostaje skazana bez zawieszenia. Popelnia ona samobójstwo na rozprawie, nietylko może nawet z powodu wyroku skazującego, ile z powodu okropnego rozczarowania.

Takie oto błahe czynniki tworzą najczęściej opinię ludzką.

*) Ustawa francuska, zwana tak od nazwiska projektodawcy, wprowadzająca instytucję wyroków z zawieszeniem.

— Aby wprowadzić w ruch wagę, powiada Montaigne, wystarczy, jeśli jedna szala jest próżna, położyć na drugiej majak starej baby.

Wystarczy również zwykła interwencja. W tej niepewności, w jakiej sędzia się znajduje, dlaczegożby miał odrzucać jedyną podstawę, na której może oprzeć swe przeświadczenie.

Zresztą między tymi wszystkimi ludźmi, którzy ingerują w wymiar sprawiedliwości, niema może ani jednego, któryby w głębi ducha nie był przekonany, że dobrze jej służy.

Adwokat, który broni jakiejś sprawy, kończy zawsze na tem, że w pewnym momencie będzie szczerzy.

Polityk, który dąży do urzeczywistnienia jakiegoś projektu — a dlaczego ten cel nie miałby ostatecznie być wspaniały — nie godzi się spokojnie na to, coby mu przeszkodziło w jego realizacji.

Nawet przyjaciel, który poleca przyjaciela, nie sądzi nigdy, że domaga się niesprawiedliwości, lub choćby tylko protekcji. Jest przekonany o słuszności sprawy, której broni i pragnie oświecić sędziego. Stara się tylko o jego baczniejszą uwagę i, że pozwoli sobie na takie wyrażenie, lepszą sprawiedliwość.

*

*

*

Dlaczego sędzia nie miałby wysłuchać wszystkich tych współpracowników z dobrej woli i przekonania, którzy oddają się na jego usługi?

Zapewne, gdyby ustawy były wyraźne, nie dopuszczałby ich, lecz ustawy właśnie organizują tylko wątplenie.

Dlaczego nie wyobrazić sobie, że w swej rozterce sędzia z wdzięcznością przyjmuje zalecenie przełożonego, który w ten sposób zdejmuje z niego odpowiedzialność, a nawet, że chętnie słucha każdego, kto go chce oświecić. Czyż w braku pewnej zasady, na której mógłby oprzeć sprawiedliwe orzeczenie, nie ma on prawa zdać się na przypadek w poszukiwaniu Słuszności, to jest rzeczy najmniej pewnej na świecie?

*

*

*

Sprawiedliwość, która wynika z takiego stanu rzeczy, nie jest może nawet tak zła, jak mówią. Sędzia pozostaje mimo wszystko uczciwym rozjemcą prywatnych sporów. Lecz brak mu autorytetu, koniecznego do przymusu. Straszny dla maluczkich, niezwykle jest pobłażliwy dla możnych. Nie szkodzi może interesom jednostek, lecz źle broni interesów społeczeństwa.

Naogół wykonuje on dość dobrze swe rzemiosło, lecz bynajmniej nie spełnia swego zadania.

CZWARTE MOCARSTWO

I.

Wielkie przedsiębiorstwa.

Wydawca dziennika rzadko kiedy jest dziennikarzem; prawie nigdy politykiem; najczęściej jest przedsiębiorcą robót publicznych; zawsze jest przemysłowcem.

Czasem dziennikarstwo jest jego jedynym przedsiębiorstwem, czasem jest tylko gałęzią związaną z przedsiębiorstwem głównem. Lecz tak w jednym, jak i w drugim przypadku dziennikarstwo obejmuje eksploatację wielkiego domu handlowego.

Kapitał obrotowy niektórych dzienników przekracza trzydzieści milionów franków. Wydanie trzeciorzędного dziennika wymaga uruchomienia kapitału półtora miliona franków rocznie. Rozumie się, że, aby operować takim budżetem, nie wystarcza mieć fantazję, spryt, ani nawet talent.

Wydawca dziennika jest zatem szefem przedsiębiorstwa. On to uruchomia i ryzykuje każdego dnia poważne kapitały. On odpowiada wobec akcjonariuszy, którzy mu ufają, wobec dostawców, którzy mu udzielają kredytu, a również i wobec dziennikarzy, którym zapewnia byt.

Możliwe, że ma prócz tego odpowiedzialność moralną, lecz ta jest dopiero na drugim miejscu.

Minęły już czasy, gdy kierownik dziennika uważał swą niezawisłość za honor zawodowy. Dziś honor zawodowy polega na pilnowaniu terminów.

*

*

*

W 1830 r. dziennik pojawiał się na czterech małych stronicach lichego papieru; zawierał kilka artykułów, mało lub wcale nieopłaconych; nie było w nim depesz, drogich informacji, ani ilustracji. Kosztował dwadzieścia pięć centimów.

Dziś większość dzienników pojawia się na sześciu, ośmiu, dziesięciu i dwunastu stronicach. Są one ilustrowane kosztownymi obrazkami, ogłaszają drogo opłacone artykuły uczonych lub sławnych osób, kolumny depesz, których nieraz jedno słowo kosztuje wiele franków; i te dzienniki sprzedaje się po trzy i pół centima agencjom kolportażowym.

Jak więc mogą one istnieć?

Istnieją dzięki ogłoszeniom, a ściślej biorąc, dzięki popierającym je firmom.

Dziennik może się obywać bez dziennikarzy, a nawet może istnieć, nie wychodząc¹⁾. Nie może istnieć bez ogłoszeń.

Co do czytelników, są oni, poprostu mówiąc, ciężarem. Wiem dobrze, że dzienniki są dla czytelników tak, jak posłowie są dla wyborców: lecz dziennikarze i parlamentarzyści znoszą tę zależność z jednakową niecierpliwością.

Naogół wzięwszy, czytelnik jako taki, kosztuje gazetę więcej, niż jej przynosi. Jednakże trzeba go szukać, ponieważ mimo wszystko, wartość ogłoszeń zależy najczęściej od ilości czytelników. Tem tłumaczy się olbrzymi wysiłek akwizytorów ogłoszeniowych w kierunku zwiększenia nakładu. Stąd w dzienniku informacje, kosztą wszelkiego rodzaju, stąd nawet i literatura.

Lecz nie łudźcie się: nie chodzi tu o to, iżby sprzedając egzemplarzy więcej, więcej stąd zyskać: chodzi o to, aby, sprzedając więcej, powiększyć znaczenie ogłoszeń reklamowych.

Mały pewnik handlowy dla użytku wymagających czytelników: czysty dochód dziennika jest zawsze niższy od wpływów z ogłoszeń.

*

*

*

¹⁾ Istnieją tu i ówdzie cmentarze dzienników, które już nie wychodzą. Sprytny przedsiębiorca, który rozporządza ich tytułami, zamieszcza je czasem na czele kolumn innego dziennika i ciągnie zyski z dawnych umów ogłoszeniowych. Przedsiębiorstwo takie dobrze prosperuje.

Tak oto można określić obowiązki, od których wydawca żadnego dziennika nie mógłby się uchylić: wiadomości, aby mieć ogłoszenia; ogłoszenia, aby opłacić wiadomości i dać dywidendę.

Poza tem wszystkiem, może wydawca wyznawać najwznioślejsze koncepcje polityczne, może żywić najbardziej bezinteresowne przekonania. Nie ma jednak prawa narażać się na ryzyko bankructwa ani dla swojej koncepcji, ani dla swoich przekonań.

Przed powzięciem jakiegokolwiek postanowienia, redaktor odpowiedzialny dziennika, choćby był apostołem lub świętym, musi wziąć pod uwagę te dwie zasady:

1-o nie narażać się tym, od których zależą wiadomości, to znaczy wszelkim potencjom politycznym i administracyjnym;

2-o nie zrażać tych, od których zależą ogłoszenia, to znaczy wszelkich potencyj handlowych i finansowych.

Za taką to cenę dziennik jest niezależny¹⁾.

¹⁾ W „Przeglądzie Paryskim” (w oryg. „Revue de Paris” — przyp. tłum.) 1 i 15 stycznia 1914 r. p. Ludwik Latzarus poświęcił godne uwagi studjum „Współczesnemu dzienikowi”. Przytacza on tam następujące zdanie administratora pewnego wielkiego dziennika: „Sześćdziesiąt tonn towaru przygotowano w ciągu dwunastu godzin, wykonano w ciągu trzech godzin, rozesłano w ciągu pięciu godzin dwudziestu tysiącom osób. Chodzi o to, aby go rozsprzedać w ciągu doby, gdyż tak długo towar ten wart jest 75 franków za sto kilogramów, a nazajutrz będzie już miał wartość tylko 6 franków 75 centimów”.

*

*

*

I żeby to choć była wina dzienników; lecz to jest przedewszystkiem wina publiczności.

Jeżeli kiedyś dobra publiczność, wyborowa publiczność, która drwi sobie z tej niewoli, wpadnie na myśl, aby czytać dziennik zupełnie niezależny, któryby nie szukał poparcia u władzy, ani u jej agentów, ani pomocy sfer handlowych — to dziennik taki się zjawi. Wystarczy, jeśli za to, co się jej sprzedaje, zapłaci cenę kosztu. Gdyby było we Francji dziesięć tysięcy osób, zdecydowanych poświęcić każdego ranka dwadzieścia lub dwadzieścia pięć centimów tylko dla przyjemności czytania dziennika, któryby nie był niewolnikiem ani swych subwencyj, ani swych ogłoszeń, ani swych akcjonariuszy — ten dziennik ukazałby się jutro. Lecz nie liczymy na to zbyt.

Przed kilku laty istniał dziennik, który drukował wiele setek tysięcy egzemplarzy i wzniecił niezwykłą burzę wśród namiętności francuskich. Jednakże, po przywróceniu ogólnego spokoju, dziennik ów spostrzegł, że gorliwość jego czytelników ochłodziła. Urządził więc plebiscyt, aby dowiedzieć się od swoich ostatnich przyjaciół, czy byliby gotowi płacić od tej chwili po dziesięć centimów za swój dziennik, by mu pozwolić istnieć i pozostać wiernym dotychczasowej polityce. Dwadzieścia tysięcy czytelników-entuzjastów odpowiedziało:

— Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia pięć centimów, jeżeli chcecie.

Uwierzono im. W niespełna rok później, dziennik drukował już tylko sześć tysięcy egzemplarzy.

Albowiem nikt nie uważa się za dość bogatego, aby płacić dziesięć centimów swoim ludziom za to, co może znaleźć za pięć centimów u przeciwnika.

II.

O tem, że trzeba szanować władze polityczne

Nazywa się dzienniki rządowemi, kiedy są służalcze.

Nazywa się niezależnemi, kiedy są właśnie rządowe.

Nazywa się dziennikami opozycyjnemi te, które kokietują władzę.

Istnieje jeszcze kilka rzadkich organów, które nie są związane z rządem przez nic, ani przez nikogo. Lecz podobno nie powinno się brać ich na serjo.

Dzięki temu opiekuńczemu podziałowi, można zgrupować dzienniki w dwie główne kategorie:

1-o te, które nic nie mówią;

2-o te, których uwagi nie mają żadnego znaczenia.

Wniosek: właśnie w chwili, w której opinia danego dziennika zaczyna mieć wpływ na publiczność, przestaje on mieć własne poglądy.

*

*

*

Prasa potrzebuje rządu. Lecz rząd potrzebuje prasy. Byłoby w tych warunkach absurdem, gdyby nie usiłowano się porozumieć. I rzeczywiście, porozumienie następuje dość łatwo.

Aby porozumieć się z prasą, rząd rozporządza nie jednym środkiem.

— A więc przedewszystkiem — powiecie — sekretne fundusze?

Niewątpliwie, kilka dzienników oficjalnych otrzymuje małe subsydja i kilku nadskakujących dziennikarzy korzysta z drobnych zasiłków. Lecz sumy to, razem wzięwszy, niewielkie. Wszystkie sekretne fundusze nie wystarczyłyby do utrzymania przy życiu, przez sześć miesięcy, drugorzędnego dziennika ¹⁾).

— Istnieją zatem koncesje?

Rzeczywiście, uderzające jest, że tylu przedsiębiorców robót publicznych ma tyle udziałów w tylu dziennikach. Ciekawe byłoby studjum na temat: prasa i jej stosunki z własnością nieruchomości.

— Czy istnieją również środki przymusu?

One właśnie mają realne znaczenie. Prasa jest niezależna; znaczy to, że dziennikarz może pisać wszystko, lecz jest oczywiście narażony na od-

¹⁾ Sekretne fundusze dochodzą do miljona franków rocznie. Więcej, niż połowa tej sumy ma przeznaczenie znane, kontrolowane, niemal publiczne.

powiedzialność sądową. Nie powinien zwłaszcza ani obrażać, ani zniesławiać. Urban Gohier doskonale i zwięźle formułuje myśl ustawodawcy w tej sprawie: gdyby nawet schwytano złodzieja na gorącym uczynku, prawo zabrania dziennikarzowi: 1-o obdarzać tego człowieka mianem złodzieja; 2-o pisać, że ten człowiek ukradł¹⁾.

Kolportaż również jest niezależny. Lecz kioski z gazetami są własnością miast; kioski na dworcach są własnością wielkich towarzystw i Państwa; roznosiciele są pod ścisłym nadzorem policyjnym. W tych warunkach staje się sprawą dość łatwą wstrzymać sprzedaż niewygodnego dziennika.

Państwo może więc ścigać dzienniki sądowe, jeszcze łatwiej zaś, może wstrzymać ich sprzedaż. Lecz to są środki niebezpieczne, których używa jedynie z wielką ostrożnością.



Rząd ma też inną broń, równie straszną. Dzienniki potrzebują informacji: rząd, który najczęściej rozporządza nowinami, może ich udzielić lub odmówić wedle woli i fantazji, a nikt nie ma prawa potępiać jego kaprysów.

¹⁾ Prasa jest tak dalece niezależna, że IX Oddział Sądu poświęca jedną sesję tygodniowo w samym tylko Paryżu na rozpatrywanie przestępstw prasowych. Nie licząc, oczywiście, spraw cywilnych i spraw w sądach przysięgłych.

Wielkie dzienniki domagają się specjalnych przewodów telegraficznych lub prawa wyłącznego użytkowania linii telefonicznej w pewnych okresach czasu; najskromniejsze pisemka fabrykują na Quai d'Orsay ostatnie wiadomości na podstawie telegramów, których nigdy nie otrzymały; wszyscy potrzebują wiadomości urzędowych i każdy stara się o pierwszeństwo w zdobyciu sensacyjnych informacji.

Z chwilą, gdy rząd jest tak użyteczny dla prasy, pojmujemy, że nawzajem łatwo mu jest uczynić ją sobie powolną.

Pewnego razu Waldeck-Rousseau, mając dosyć ataków, któremi go dzienniki każdego ranka obrzucały, polecił swemu urzędnikowi prasowemu, aby ukrócił te napaści. Urzędnik błagał dziennikarzy, lecz nic nie uzyskał. Waldeck powiadomiony o tych zabiegach, zabronił mu ich kontynuować i powtórzył rozkaz, iżby sobie jakoś z tem poradził. Tym razem urzędnik zrozumiał. Nazajutrz wycinki prasowe były o połowę mniej liczne, ale wszystkie były przychylne. Zakomunikowano tylko pomyślne wiadomości.

Gdyby Karol X lub Ludwik Napoleon powtórzył dziś zamach stanu, nie potrzebowałby, jak niegdyś, łamać oporu całej prasy; wystarczyłoby, gdyby odebrał dziennikom możliwość zdobywania informacji. Nazajutrz wszystkie stanęłyby po jego stronie.

*

*

*

Jeden fakt charakteryzuje tę wzajemną zależność władz publicznych i prasy.

Reporterzy dzienników wszelkich odcieni, którzy towarzyszą Prezydentowi Republiki w jego podróżach oficjalnych, otrzymują miejsca w jego pociągu i są jego gośćmi.

Odplacając się za uprzejmość, ubierają się, tak jak on, od ósmej rano we frak, ten mundur burżuazji. Nazywają ich jeszcze dziennikarzami, lecz któż nie zauważy, że to są już prawie urzędnicy: urzędnicy reklamy.

Podobnie, gdy Ludwik XIV udawał się na wojnę, kazał towarzyszyć sobie pisarzom, których obowiązkiem było notować każdego dnia jego czyny bohaterskie. Nazywano ich dziejopisami. Lecz napróżno szukano by w ich opisach opowieści o porażce.

A oto inny rys charakterystyczny: prezes Syndykatu prasy paryskiej nie napisał w swoim życiu ani jednego artykułu. Lecz jest to były minister.

III.

O tem, że trzeba popierać interesy potęg handlowych.

Jeśli jakiś dziennik starał się nie narażać rządowi, powinien ponadto zabiegać, aby się podobać:

- 1-o aptekarzom i drogistom,
- 2-o domom bankowym i towarzystwom kredytowym,
- 3-o krawcom i firmom galanteryjnym,
- 4-o przemysłowi spożywczemu,
- 5-o fabrykantom samochodów.

Takie są w rzeczywistości, w chwili obecnej, główne źródła ogłoszeń, które zasilają prasę. Porządek, w jakim je wymieniamy, odpowiada, mniej więcej, ich doniosłości. Rozumie się jednak, że ich znaczenie zmienia się odpowiednio do dzienników. Ogłoszenia finansowe, które zajmują dość poślednie miejsca w pewnych wielkich dziennikach, zyskują wielkie znaczenie w więk-

szości małych. Moda, produkty spożywcze i automobile nie mają potrzeby poszukiwania tej samej klienteli. Jednakże wyroby aptekarskie zajmują wszędzie pierwsze miejsce.

Ma się rozumieć, że poza temi głównemi gałęziami przemysłu, trzeba też dbać o pewną liczbę innych, ale te są już na znacznie dalszym planie.

Przemysł metalowy utrzymuje przedewszystkiem dzienniki specjalne, a wielkie magazyny coraz chętniej reklamują się same, rozsyłając do mieszkań katalogi. Jednakże ani jednych, ani drugich nie można zaniedbywać.

Towarzystwa kolejowe ofiarowują coprawda najczęściej tylko bezpłatne przejazdy, a teatry płacą za reklamę łóżami lub krzesłami w pierwszych rzędach. Ale to też ma swoją wartość.

*

*

*

Dziennik, który nie przerwałby za sto tysięcy franków kampanji przeciwko jakiemuś towarzystwu kredytowemu, unika rozpoczęcia tejże kampanji, gdy ma z tem towarzystwem umowę na dziesięć tysięcy franków; trzeba to liczyć podwójnie na jego dobro.

W niektórych dziennikach uważa się za rzecz w dobrym guście, nie rozgłaszać zbyt wiele porażki jakiegoś przemysłowca, bankiera, czy wydrwigrośza, jeśli dawał on ogłoszenia na ich szpaltach.

Unika się zbytniego hałasu w sprawie wypadku w jakimś towarzystwie transportowym i wystrzega się wszczynania paniki.

Mówi się z umiarkowaniem o widowiskach i zapomina się o sprawozdaniu z najpiękniejszej książki, jeśli wydawca nie ma z dziennikiem umowy ogłoszeniowej.

Dodajcie do tego, że niektórzy ogłaszający się mają nawet wymagania natury politycznej. Zdarzało się, że klientela bojkutowała magazyny reklamujące się w pewnych dziennikach partyjnych; i dlatego bywało, że kupcy odmawiali odnowienia umowy z dziennikami, które zanadto zawansowały się w jakichś kampanjach.

Niema, że się tak wyrażę, ani jednego przedsiębiorcy ogłoszeniowego, któryby w stosownej chwili nie pragnął, choćby przejściowo, odegrać jakiejś roli politycznej. Nie należy się temu dziwić: łamy wszystkich dzienników stoją dla niego otworem i jeśli podoba mu się mówić głośno, niema człowieka, któryby się ośmielił zmusić go do milczenia.

*

*

*

Prasa jest pełna poważania nie tylko dla przedsiębiorców handlowych; nie istnieje ani jedna gałąź rzemiosła, ani jedna grupa społeczna, o której mogłaby ona mówić ze swobodą.

Od kilku lat dzienniki czynią wielkie wysiłki, aby zjednać sobie, już nie oddzielnych czytel-

ników, lecz odrazu całe grupy społeczne lub zawodowe. Jeden z nich prowadzi hałaśliwą kampanję na korzyść nauczycielstwa, agentów handlowych, towarzystw wzajemnej pomocy... inny poświęca co tydzień stronicę takiej lub innej dziedzinie działalności ludzkiej.

Ale żadna krytyka nie może mieszać się do tej propagandy. Pewien redaktor dziennika, któremu przyniesiono protest grupy poważanych lekarzy przeciw podejrzanym praktykom niektórych ich kolegów, odmówił opublikowania go, na podstawie następującej, bardzo mądrej zasady:

— Ci, którychbym bronił, zapomnieliby tego w ciągu tygodnia; ci, którychbym zwalczał, pamiętaliby o tem przez całe życie.

Tem bardziej dziennikarz nie powinien próbować buntować się przeciw interesom ogólnym jakiegoś związku. P. Ludwik Latzarus¹⁾ przypomina w związku z tem zajmującą anegdotę:

Pewien dziennik, i to bardzo odważny, spróbował niedawno jeszcze prowadzić walkę z alkoholizmem i uzyskać zakaz sprzedaży absyntu. Wszyscy lekarze, wszyscy socjologowie, elita kraju popierała jego usiłowania. Wiadomo, co z tego wynikło: dziennik musiał ustąpić, upokorzyć się i zapłacić odszkodowanie Związkowi Sprzedawców Win. Dlaczego? Ponieważ ten Związek rozesłał wszystkim swym stronnikom okólnik, w którym prosił o bojkotowanie niewygodnego dla nich dziennika, będącego, jak pisał, „takim

¹⁾ Już cytowany.

— samym towarem, jak i absynt”. W ciągu sześciu miesięcy dziennik stracił sto tysięcy czytelników. Łatwo można zrozumieć, że nie upierał się już dłużej, aby dowodzić niebezpieczeństwa alkoholizmu.

Są jeszcze dzienniki, gotowe śmiało budzić niezadowolenie całego odłamu opinii publicznej; niema takiego, któryby pozwolił sobie wyrazić się źle o jakimś zawodzie. Rzeczywiście, namiętności polityczne są krótkotrwałe, lecz konflikty materialne pozostawiają na długo urazę.

IV.

A pozatem, ma się stosunki...

Zaden zawód nie jest tak okrzyczany, jak dziennikarski. Żadnemu nie pochlebia się bar-dziej.

Przedpokój wydawcy wielkiego dziennika jest miejscem, gdzie stykają się wszystkie hie-rarchje i wszystkie przekonania. Naczelny re-daktor najmniejszego nawet pisemka zna osobi-ście wszystkie znakomitości Paryża.

Dziennikarz, to taki pan, który urzęduje na próbach generalnych, który ma wolny wstęp do obu Izb Ustawodawczych i za kulisy teatrzyków, który odwiedza ludzi będących przy władzy i mod-ne aktorki, który każdego wieczoru spożywa ko-lację i posiada, jak ambasadorowie, znak specjal-ny, by pojazd jego nie potrzebował czekać na skrzyżowaniach ulic.

Te prerogatywy są ogólnie znane. Balzac, Maupassant, Daudet i wszyscy dobrzy autorzy wychwalali je.

I nikomu, oczywiście, nie chodzi o to, żeby dowiedzieć się, czy dziennikarze korzystają z nich w tym stopniu, jak się przypuszcza; czy nie muszą, wychodząc z teatru, pisać na poczekaniu sprawozdań, czy się ich nie przyjmuje z większą obawą lub nudą, niż radością, czy kolacja ich nie składa się zwykle z kiszonej kapusty i pół butelki taniego wina, i czy nie powstrzymują się od korzystania ze swych przepustek poprostu dlatego, że częściej są w autobusie, niż w aucie. Wie się o nich tylko, że biorą udział w wielkiem życiu paryskim, że mogą rozpoznać na ulicy sławne osobistości, z których połowa im się kłania.

W epoce, w której cały świat żyje z reklamą, któżby mógł się uchylić od podtrzymywania stosunków grzecznościowych z tymi, którzy rozporządzają reklamą.

Dostarcza się im informacji, żeby otrzymywać od nich pochwały. Z poczuciem dumy zajmują tedy swą pozycję w społeczności narodowej.

*

*

*

Każdy prezes Rady Ministrów poświęca, niemal co dnia, część swego czasu na przyjmowanie prasy. Żaden minister nie ośmieliłby się odmówić audjencji reporterowi największego dziennika.

W Pałacu Burbońskim wszysey politycy, odgrywający większą rolę, zatrzymują się od czasu do czasu w kularach, aby uścisnąć dłonie spra-

wozdawców parlamentarnych i opowiedzieć im o swych pracach. Referent wielkiej komisji, znany poseł, który przygotowuje się do manifestacyjnego wystąpienia, nowoprzybyły, zamierzający debiutować na trybunie, wszyscy śpieszą najpierw do „Sali Pokoju” przechadzać się w poszukiwaniu rąk do uściśnięcia i rozdawać zwierzenia.

Nie jeden parlamentarzysta umiał sobie zjednać przyjaźń, przynosząc pierwszy niespokojnym dziennikarzom wynik głosowania przed jego ogłoszeniem. Inny dostarcza im wyczerpanych sprawozdań parlamentarnych. Trzeci informuje ich o tem, co się dzieje w ugrupowaniach parlamentarnych albo dostarcza im pomysłowych formuł i nowin dnia.

Któż opisze radosną dumę dziennikarza, którego sławny mąż stanu prowadzi do zacisznego gabinetu, aby mu powierzyć sekretne zamiary, którym pragnąłby nadać rozgłos.

I jeśli jakiś znany parlamentarzysta zbyt długo zaniedbywał odwiedzania tej małej giełdy zwierzeń i potwarzy, spotyka się go potem błędącego smutnie pomiędzy grupami w poszukiwaniu dziennikarza, który przyjdzie wreszcie starać się o zwierzenia przeznaczone dla szerszej publiczności.

Nie dziwcie się spotykając w czasie przesileni tyle znakomitości politycznych w kuluarach Pałacu Burbońskiego, dokąd nie wzywa ich żadne posiedzenie: ci panowie robią sobie reklamę.

*

*

*

Sale prób generalnych dostarczają okazji do podobnych manifestacyj. Tu wszyscy niemal się znają. Połowa widzów przywykła spotykać się na inauguracji każdej nowej sztuki. Dyrektorzy, autorzy, aktorzy i krytycy wymieniają najnowsze plotki i prowadzą handelek drobnemi uprzejmościami.

Tam dziennikarze są jeszcze bardziej znakomitymi i poszukiwanymi gośćmi. Oni trzymają, zda się, w swoich rękach los sztuki. Jutro zgotują jej sukces lub upadek. Tymczasem są gośćmi autora lub reżysera sztuki. Najmniejsza więc krytyka z ich strony miałaby charakter nieprzyzwoitości.

Traktuje się ich z szacunkiem, ale to dlatego, żeby otrzymać od nich podobne względy. Bo czyż mogliby mówić nieuprzejmie o ludziach, którzy nazajutrz będą ich sąsiadami w pierwszych rzędach krzeseł, lub z którymi będą się stykać w kuluarach innych teatrów?

*

*

*

I sądownictwo ze swej strony płaci haracz prasie. Dla prasy bowiem przewodniczący sądu przysięgłych czy prokurator wypowiadają piękne frazesy i dla niej adwokaci zachowują efektowne momenty obrony. To prasa stworzyła karierę niejednemu sprytnemu sędziemu i reputację większości sławnych adwokatów.

Sprawozdawca sądowy, oddający się z zacięłością swemu okropnemu zawodowi, zmuszony biegać z rozprawy na rozprawę i przemierzać dziesięć razy dziennie kuluary urzędu śledczego, wydaje się niemniej istotą możną i opatrznosciową. Trzyma w swych rękach kariery sędziów, sławę adwokatów i honor podsądnych.

Czegóżby mu nie ofiarowano za wyrażenie uznania dla zręczności sędziego śledczego, dla przenikliwości przewodniczącego, dla wymowy adwokata lub poprostu, za zniekształcenie nazwiska oskarżonego.

Adwokaci zasypują go notatkami w sprawie, której bronią; pisarze sądowi pozwalają mu przeglądać akta, sędziowie opowiadają mu anegdoty. Ma on z „czerwonemi togami” stosunki uprzedzająco grzeczne i jest „na ty” z połową sędowników.

Jeden rys podkreśla ten wzruszający związek koleżeński prasy ze sprawiedliwością: wszystkie dzienniki dostarczają bezpłatnych egzemplarzy osiemdziesięciu komisarjatom policji w stolicy¹⁾.

*

*

*

Nie wszystkie jednak stosunki dziennikarzy są tak godne rozgłaszania, jak te.

W salonach rzadko otrzymuje się informa-

¹⁾ Moglibyśmy wymienić niejednen dziennik o dużym nakładzie, który dosłownie nie ma innych stałych odbiorców, prócz tych osiemdziesięciu.

cje w sprawie wielkich zbrodni, które pasjonują czytelników. Dobry reporter powinien umieć zdobyć szacunek i sympatię policjantów, służby, kumoszek i, w miarę możliwości, przestępców. W ten sposób najpośledniejsi szpiele stają się „przebiegłymi wywiadowcami”; służąca ofiary jest zawsze „wzorem przywiązania”. Dziennik, który źle się wyraził o stróżach, utrudnia sobie przez to dochodzenie kryminalne; wszyscy więc dziennikarze zgodnie piszą, że „pan Pipelet, portjer, zechciał nas uprzejmie poinformować...”



Niema ludzi, którzyby w jakiejś chwili nie rozporządzali jakąś informacją; każdy, przynajmniej raz w życiu, potrzebuje prasy, i to jest właśnie fatalne dla spokoju jednostek i niezależności dzienników.

Pisarz, który sprzedaje idee, tak samo nie może się obejść bez reklamy, jak aptekarz, który sprzedaje pigułki. Lecz aptekarz płaci przynajmniej za nią ładny grosz. Pisarz zaś, otrzymuje ją za cenę uprzejmości. Czyż można powiedzieć, czyj los jest bardziej godny zazdrości.

V.

Koniec dziennikarstwa.

Czem się staje w tych warunkach dziennikarz?

Staje się pracownikiem domu handlowego. Jeśli nawet nosi sławne nazwisko, jeśli nawet ma oddaną sobie publiczność, wydawca angażuje go tak, jak administrator teatru angażowałby tenora bohaterskiego.

— Ma pan głos i dobrą gestykulację, lub poprostu: podoba się pan publiczności, będę więc panu płacił więcej za występ. Ale, ma się rozumieć, ja sam będę wybierał sztuki i, w razie potrzeby, ja będę panu na próbie wskazywał z proscenium, jak pragnąłbym, by pan ujął swą rolę.

Dziennikarz uśmiecha się na to roszczenie, wzrusza ramionami, mruknie coś i podpisuje kontrakt.

Podpisuje i stosuje się do niego. Jeśli czasem przyjdzie mu chęć, by go naruszyć, wydaw-

ca prędko przywoła go do brutalnej rzeczywistości.

— Czy pan myśli, powie, że poto tylko stworzyłem i utrzymuję dziennik kosztem tysięcy wysiłków, aby go oddać do dyspozycji pańskim osobistym urazom, albo nawet pańskim ideom?

Wydawca uważa, i może ma rację, że nadużywa się poprostu jego zaufania. Jest w takim stanie ducha, jak właściciel terenów łowieckich, który wydał swym polowym rozkaz wytrzebień królików, a zastałby ich w trakcie strzelania do bażantów królewskich.

*

*

*

Dziennikarze udają, że nie zdają sobie sprawy z tego stanu rzeczy.

Poproście ich, żeby wymienili człowieka, w ich oczach ucieleśniającego najlepiej ich zawód. Wszyscy, lub prawie wszyscy, nawet najbardziej bezstronni, nawet najbardziej umiarkowani, wskażą na dziennikarzy politycznych lub polemistów. Wiedzą wprawdzie dobrze, że nie ku temu działowi dziennikarstwa zwraca się sympatja mas i nie z nim łączą się wszelkie wpływy, ale mimo to upierają się przy tradycyjnym podziw.

Niewątpliwie był czas, gdy elitę Paryża i prowincji łączyło to samo pragnienie, aby każdego ranka wiedzieć, co myślał wczoraj Armand Car-

rel, Emile de Girardin, Villemessant, Cassagnac czy Drumond.

Dziennikarze królowali: oni to tworzyli tematy rozmów tak zwanego wówczas „bulwaru”, który dziś nazywa się już tylko: „kawiarnią”. Powiedzenia Nestora Roqueplan, Rogera de Beauvoir, Alfonsa Karr i de Vallès’a wystarczały, aby zasiłić dowcipami drugie cesarstwo, które, jak każdemu wiadomo, było tak pełne dowcipu.

Dzienniki doprowadziły do rewolucji 1830 r. a Rochefort wydawał się Napoleonowi III straszniejszy, niż cała opozycja parlamentarna.

Na nieszczęście dla dziennikarzy, od czasu tych chwil błogosławionych zaszła pewna nowa okoliczność: ugruntowała się wolność prasy. Sztuka mówienia ma, jak się zdaje, znaczenie tylko w czasach, gdy nie ma się prawa mówić wszystkiego, bo wówczas talent zajmuje miejsce wolności. My już nie żyjemy w tych czasach.

Istnieją wprawdzie dzienniki polityczne. Niektórzy wielcy polemisci mają jeszcze swoje organy, w których mogą się wypowiedzieć prawie zupełnie swobodnie. Jednak ich los, niestety, jest najczęściej nie do pozazdroszczenia.

Pozostało im jeszcze paru wiernych czytelników, lecz niema już odbiorców, którzyby czytali wyłącznie ich dzienniki. W ten sposób ustala się kontrola: wpływ ich maleje przez to, a wysokość nakładu zmniejsza się jeszcze bardziej.

Jeśli przypadkiem czyta się te pisma, niejaki żal miesza się z największą radością. Naj-

piękniejsze stronice są tu stracone. Rzecz to znana zbyt dobrze, że z tego artykułu, napisanego z takim umiłowaniem sztuki, jedynie to zdanie będzie mogło znaleźć echo, które ewentualnie jakiś wielki dziennik wydrukuje, i to raczej przypadkowo, w swoim przeglądzie prasy¹⁾. Są to piękne wysiłki niewieńczone sławą, arcydzieła rytowane na piasku.

Gdy jeden z tych wielkich polemistów umiera, nikt nie zajmuje jego miejsca, a ludzie dziwią się, że tak mało osób idzie za jego trumną.

*

*

*

To już nie te czasy, gdy można było nazywać Francuza „zwierzęciem politycznym”. Francuz nie interesuje się zupełnie polityką od czasu, gdy ją sam tworzy. Być może, że i w tym przypadku również ciekawość była warunkiem zamiłowania.

Dzisiaj polityka jest tylko jednym z wielu działów informacyj. Wydawałoby się wysoce absurdalne, aby poświęcać dla niej wszystkie pozostałe. A że wymogi aktualności są zupełnie sprzecz-

¹⁾ Niejeden dziennikarz, posiadający własne piśmo, nie waha się zanieść artykułów, na których mu naprawdę zależy, do wielkiego dziennika, cieszącego się powodzeniem.

ne z wymogami wolności, to tem gorzej dla wolności!

W ten sposób przekształca się charakter dziennikarstwa: znika wstępny artykuł polityczny, a dawna kronika staje się nie do poznania.

Ci kronikarze, którzy trwają zawzięcie przy tem, iżby służyć tylko eleganckiej klienteli, muszą się ograniczać do tematów całkiem niedrażliwych. Witają otwarcie sezonu, komentują rocznice, rozwodzą się nad blahostkami i pomysłowo „rozdmuchują” do dwustu lub trzystu wierszy fakt z przed tygodnia, który zasługiwał na dwadzieścia wierszy w dniu, w którym był aktualny.

W większości dużych dzienników kronika jest tylko rubryką popularyzacyjną. Zdarza się jeszcze, że pozwolą politykowi omówić tu jakąś ustawę, uczonemu wyjaśnić odkrycie, autorowi naszkicować jakiś drobny utwór, ale zarówno dyskusja, jak i pogawędka, zostały stąd teraz usunięte. Wszyscy mają prawo do tej rubryki, z wyjątkiem dziennikarzy.

Z dawnego artykułu wstępnego, z przestarzałej kroniki, pozostało tylko jedno wspomnienie: czterowierszowa notatka, którą Franciszkowi Magnard udało się niegdyś wprowadzić w modę. Nadano jej dziś tytuł: „Notatki z życia Paryża”; w ten sposób zaznacza się, że wszystkie ważne tematy mają z niej być wyłączone.

*

*

*

Trzeba, żeby dziennikarze pogodzili się z tem, że dzienniki nie są już na ich łasce, lecz oni są na łasce dzienników. Publiczności nie pociąga już autor, pociąga ją firma. Dziennikarz może jeszcze aspirować do tego, żeby być powszechnie znanym, ale nie ma już prawa ubiegać się o klientelę.

VI.

Apologja Rouletabille'a *).

Istnieją tylko dwa sposoby, żeby zwiększyć nakład dziennika:

1-o konkursy i premje;

2-o feljetony.

Poza tem, dziennik może robić wszelkie możliwe wysiłki, angażować największych pisarzy, ogłaszać najbardziej frapujące wiadomości, odważać się na najhałaśliwsze reklamy: ale nie mu się tak nie opłaci, jak konkurs umiejętnie zainicjowany, lub feljeton wporę wydrukowany.

Śmierć Rochefort'a nie zmniejszyła nawet o dziesięć tysięcy ilości egzemplarzy dziennika, w którym codziennie pisywał. Powieść Zévaco czy Bruant'a zwiększy automatycznie o sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt tysięcy nakład dziennika, który ją drukuje.

*) Bohater powieści G. Leroux, reporter - detektyw,

*

*

*

Poza konkursami i feljetonami, publiczność chce nowin, a przedewszystkiem rubryki drobnych wypadków¹⁾.

Interesuje się informacjami, lecz kpi z nauki, która z nich płynie; domaga się depesz, lecz nie traci czasu na czytanie komentarzy, w które zaopatrują je dziennikarze.

Bo cóż znaczy, doprawdy, czyjaś opinja w porównaniu z samą informacją? Czyż to nie naiwność krytykować zalety wojenne jakiegoś narodu, skoro telegraf, w ciągu paru godzin, przynosi nam z końca świata wiadomość o jego zwycięstwie lub klęsce.

Informacja może się co prawda stać tendencyjną i naturalnie nie odmawia sobie tego. Ale zachowuje pomimo to pozory informacji. Można ją zdementować, lecz nie dyskutować nad nią. Jednej wiadomości można przeciwstawić drugą, lecz byłoby śmieszne przeciwstawiać jej rozumowanie.

*

*

*

¹⁾ Jeżeli wiele dzienników politycznych drukuje się na sześciu stronicach, to nie dlatego, żeby dawać swym czytelnikom więcej artykułów politycznych, lecz żeby dostarczyć im informacji, wśród których politykę się tylko przemycza.

Informacja najczęściej nie ma nic wspólnego z talentem. Przy przeprowadzaniu dochodzenia w sprawie kryminalnej więcej warte są kwalifikacje policjanta, niż pisarza najczystszej wody. A nawet dla zdobycia doniosłej wiadomości międzynarodowej bardziej potrzebna jest dyplomacja, niż styl.

Miejsce dziennikarza zajmuje reporter. Rouletabille zastępuje Armanda Carrel.

Rozumiemy, że na pierwszy rzut oka każdy jest zaskoczony, widząc go na tem stanowisku; lecz po krótkiej chwili przebywania w jego towarzystwie przekona się, że jest on naogół sympatyczny. Rouletabille jest najczęściej uczciwy i uwielbia swój zawód; jest zuchwały i prawie cyniczny w postępowaniu, lecz w głębi serca pozostaje naiwny; jest wierny pismu, któremu służy; obmawia chętnie swój zawód, lecz nie wyobraża sobie, by mógł się poświęcić innemu; wierzy w swoją misję i wyobraża sobie, że spełnia wielki obowiązek społeczny, ilekroć przeprowadza wywiad w sprawie przejechanego psa; ma honor zawodowy: chce wiadość, nie zdradza zaufania.

Czasem Rouletabille jest człowiekiem pełnym znaczenia i uorderowanym. Zamiast robić wywiady po norach, robi je w kancelariach. Rozpytuje dostojników państwowych, zamiast badać stróża domu, w którym popełniono zbrodnię.

I zdarza się nawet, że otrzyma wiadomości, które wywrą wpływ na życie narodu. Jako korespondent wojenny będzie dawał lekcje walki wojskowym. Jako specjalny wysłannik będzie

przysyłał depesze, stanowiące odpowiednik sprawozdań ambasadorów. Będzie umiał obserwować fakty; i z wypadków dziejowych wyciągnie wnioski filozoficzne, zamiast im swoją filozofję narzucać; czasem zaś, z reportażu uczyni wizję proroczą dziejów.

*

*

*

Jeden rys główny charakteryzuje Rouletabille'a: wierzy on w solidarność, która łączy go z kolegami.

W powieściach kryminalnych, reporter dążący do zdobycia choćby przemocą jakiejś wiadomości, usiłuje wszelkimi sposobami zdystansować albo usunąć kolegów, którzy wpadli na ten sam trop. W rzeczywistości, dzieje się nieco inaczej. Dziennikarz, któremu powierzono zbadanie jakiejś sprawy, obawia się przede wszystkim popełnienia gafy i zdementowania jego informacji. Prawdopodobnie nikt nie będzie mu specjalnie wdzięczny za jakiś nieznany szczegół, który on jeden potrafił zdobyć; natomiast z pewnością będą mu wypominali taki, w którego ogłoszeniu dał się ubiec innemu dziennikowi. Zwłaszcza zaś będą mu mieli za złe, jeśli da powód do sprostowania. Wskutek tego lepiej zdradzić swój sekret, przede wszystkim dlatego, żeby poznać cudzy, następnie zaś dlatego, żeby nie być jedynym, który go prasie dostarcza. Tworzy się porozumienie.

Reporterzy, którzy w kuluarach Izby poszukują informacji politycznych, komunikują sobie stale nawzajem rezultaty swych zabiegów.

W dziedzinie drobnych wypadków wymiany tej dokonywuje się w sposób oficjalny. Któryż dziennik mógłby wysyłać reporterów do wszystkich komisarjatów policji w Paryżu? Przedstawiciele różnych dzienników dzielą się zadaniem, a potem gromadzą razem rozproszone informacje. W niektórych małych kawiarniach istnieją prawdziwe giełdy nowin.

W Pałacu Sprawiedliwości znajduje się lokal, specjalnie urządzony dla prasy. Tam sprawozdawcy sądowi, zgrupowani w syndykat, nie poprzestają na wymianie informacji, lecz przekazują sobie wzajemnie polecenia różnych osób i decydują o tem, jak przedstawić w sprawozdaniu przebieg i wynik procesu.



W przeciwieństwie do dziennikarza z zasadami, współczesny reporter chętnie przyjmuje rozkazy szefa, ale dorzuca do nich własną inicjatywę.

Będzie on poważał ludzi, dzierżących władzę, i skłaniał się przed koniecznością reklamy. Będzie oszczędzał przyjaciół firmy, ponieważ są przyjaciółmi; ale również i przeciwników — z obawy przed odwetem. Następnie, gdy już weźmie pod uwagę przyjazne i wrogie stosunki szefa,

przypomni sobie swoje własne i przedewszystkiem pomyśli o swych kolegach.

Poza wielkiem koleżeństwem, które łączy prasę z wszystkimi władzami publicznymi, istnieje małe koleżeństwo zawodowców między sobą.

Grubym rybom z prasy chodzi o to, żeby nie narazić swej potęgi i zachować udział w kierowaniu sprawami publicznymi. Małym reporterom chodzi o zapewnienie sobie wygodnej egzystencji, albo nawet poprostu o zabezpieczenie chleba powszedniego.

Na szczycie drabiny nazywa się to poczuciem odpowiedzialności. Na dole drabiny tytułuje się to solidarnością zawodową.

Ale nie zbraknie złych języków, które będą utrzymywać, że konsekwencje tych dwóch pięknych uczuć są identyczne: poczucie solidarności korporacyjnej bierze przewagę nad poczuciem interesu publicznego.

VII.

Prasa i opinja.

Mówi się, że opinię publiczną kształtują dzienniki. Z równą słuszością można twierdzić, że jest i odwrotnie.

Czytelnik zawsze gotów jest przyjąć opinię swego dziennika. Lecz dziennik wybiera opinię, jaka jego zdaniem podoba się najbardziej czytelnikowi. Ta wzajemność wytwarza cudowną harmonję, której pierwszą konsekwencją jest zwolnienie wszystkich z obowiązku zastanawiania się.

Prasa tworzy opinię publiczną w taki sam sposób, jak wielcy krawcy tworzą modę: czerpią natchnienie ze skłonności i upodobań, panujących w danej chwili, i usiłują ująć je w karby; ale nigdy nie upierają się przy nich w razie niepowodzenia.

Balet perski czy rosyjski wystarczy, żeby zmienić modę. Sprawa Dreyfusa, czy zajście w Tangerze, wpływają na zmianę polityki. Bieg zdarzeń jest ten sam, oczywiście w odpowiednich proporcjach.

Były takie dzienniki, które wypowiedziały się przeciw swej klienteli, to znaczy, zwalczały idee ogólnie przyjęte w środowiskach, gdzie je czytano. Pewien wielki dziennik, za czasów sprawy Dreyfusa, naraził się na tę przygodę. Nie udało mu się. Niewiele przysłużył się sprawie, której bronił, a poważnie naraził interesy swych akcjonariuszy.

Zastanowiło to wydawców dzienników. Po-cóż poświęcać swe interesy materialne interesom politycznym, którym nie uda się mimo to zapewnić triumfu? Wszak znaczy to: poświęcać jednej idei wszystkie inne idee, które się ukochało; to znaczy: złamać swą broń, gdy nadszedł czas bitwy; to znaczy: dać się oszukać. Nie należy dać się oszukiwać.

Trzeba przedewszystkiem ofiarowywać swej klienteli ten towar, który ona najbardziej lubi. Byłoby absurdem zakładać trafiki wśród ludności niepalącej, a niemniejszą niedorzecznością byłoby dostarczać dziennik radykalnie opozycyjny spokojnym i szanującym urządzenia państwowe mieszczanom.



Trudność, w tym przypadku, polega na tem, żeby znać opinię. Jak zbadać przyczyny, któreby stanowiły o powodzeniu dziennika lub jego upadku? Autor dramatyczny może, w trakcie przedstawienia, śledzić na twarzach widzów grę wzrusze-

nia i rozbawienia. Wydawca dziennika nie ma takich wskazówek. Do jego gabinetu, przez który tyłu ludzi się przesuwają, jedynie publiczność właściwie nie ma dostępu.

Molière radził się Martyny; ale Martyna nie ma opinii o dziennikach, nie umiejąc czytać; a gdyby się nauczyła, zaczęłaby mieć uprzedzenia literackie.

W braku innych środków badania, dziennikarze ograniczeni są do żądania od swych korespondentów informacji, które będą ich jedynymi drogowskazami. Dziwimy się czasem, widząc, ilu ludzi zadaje sobie trud przysyłania do pism listów z pochwałami lub obelgami. W rzeczywistości nikt bardziej, niż oni, nie wpływa na kierunek dziennika.

Jest pewien parlamentarzysta, którego usiłuje wielokrotnie zwalczać wielki dziennik prowincjonalny; parlamentarzysta ów ma w kilku miejscach sześciu gorliwych agentów, zobowiązanych do wysyłania protestów przy każdym nowym ataku; wystarcza to dla przerywania tych kampanij.

Trzydzieści w porę napisanych listów skłoniło dziennik o miljonowym nakładzie do przywrócenia skasowanej rubryki i powstrzymało go od zwolnienia redaktora, który ją prowadził.

*

*

*

Na szczęście, sprawy, w których wypowiada się publiczność, zdarzają się rzadko. Czytelnicy

mogą mieć poglądy mocno ustalone, ale mają ich mało. Z chwilą, gdy tych poglądów nigdy się nie urazi, łatwo dają się oni powodować we wszystkich innych sprawach.

Prostu, trzeba tu taktu, przedewszystkiem zaś należy unikać wszelkich brutalnych rewindykacyj, co do których nie jest się zupełnie przekonany, czy się im zapewni triumf od pierwszego dnia. Walka, która się przedłuża, wywołuje znużenie; walka przerwana wzbudza podejrzenie. Najlepiej więc nie podejmować jej wcale.

Istnieje również wiele subtelniejszych sposobów, które pozwalają ustalić powszechną zgodę. Żeby kierować opinią, nie dostarcza się czytelnikowi idei już urobionych, lecz narzuca mu się rozważania, daje się pożywienie jego myślom. Aby czytelnikiem rządzić, informuje się go.

Reformy polityków poprzedzane są przez badania dziennikarzy. Gdyby dzienniki nie ogłaszały uparcie listy zbrojeń niemieckich, nigdyby się opinia publiczna nie zgodziła na ustawę o trzyletniej służbie wojskowej. Wszystkie wielkie odkrycia współczesne, od lecznictwa do lotnictwa, zawdzięczają prasie część swego powodzenia.

*

*

*

Prasa nie jest już niezależna; to wiadome. Jakżeby mogła być niezależna, skoro żyjemy w epoce, gdzie niezależność nie opłaca się? Lecz nie jest jeszcze służalcza. Zależy od wielu ludzi

i od wielu instytucyj, ale i ona również wycisnęła swe piętno na instytucjach i na ludziach.

Jedno jest okupem drugiego. Dziennikarstwu potrzebni są wszyscy, ale nikt też nie może się obejść bez niego. Wojsko, literatura, nauka, kler i, jak ktoś się wyraził, Pan Bóg nawet, potrzebują reklamy.

Są bezwątpienia dzienniki oficjalne, które posłusznie spełniają rozkazy; lecz najczęściej dzienniki paktują. Użyczają swego poparcia, ale go nie sprzedają. Co najmniej stawiają swe warunki. Jeśli w tym targu ich interes własny jest zawsze w grze, to przecież zdarza się, że i interes publiczny wcale na tem nie cierpi.

Jest zresztą pewne, że kończy się najczęściej na kompromisie. Publiczność, która nie zna mechanizmu pertraktacyj, uśmiecha się, gdy usiłują jej wykazać różnicę między prasą oficjalną, która popiera zawsze władzę, a prasą niezależną, która popiera ją również prawie zawsze.

Różnica jednak istnieje. Sposoby działania, jakimi władza rozporządza w obu przypadkach, nie mają ze sobą nic wspólnego: mówi się o potencjach, że są ujarzmione, gdy się im wydaje rozkazy; mówi się, że są niezależne, gdy się z nimi paktuje.

Prasa stała się rzeczywiście „czwartem mocarstwem”, ponieważ układa się z pozostałymi trzema.

*

*

*

Gdybyśmy mieli inne instytucje i gdybyśmy przypadkiem odważyli się stworzyć pewnego dnia tak oczekiwaną demokrację, byłoby może pożądane, aby prasa znów objęła swą tradycyjną rolę kontrolowania spraw publicznych.

Jednak w paradoksalnem Państwie, w którym żyjemy, ona sama nie może już wskrzesić życia politycznego, którego nam brak; umiemy więc być wdzięczni za wysiłek, jaki robi, by chociaż pilnować społeczeństwa, które się jakoś trzyma.

Zaden dziennik nie jest całkiem niezależny — to pewne. Niemniej, z tych małych zuchwałości, na które się każdy z nich tu i ówdzie odważa, kumuluje się resztką wolności, która jeszcze pozostała.

ZAKOŃCZENIE

— Miłosierdzie, — mawiał niegdyś Chrystjanizm, który dał pretekst do tylu kłótni i rzezi.

— Braterstwo, — głosiła Rewolucja, która wzniosła gilotynę, jako system rządzenia.

— Solidarność, — kazali ostatni filozofowie współcześni, zapóźnieni w walkach o zdobyte już pozycje.

Wielka wiara wywołuje wielką nienawiść.

Ze wszystkich doktryn altruizmu nasza epoka zrealizowała jedyną, która była naprawdę praktyczna: koleżeństwo. Chcieć, aby społeczność oparła się na miłości, to zarówno wspaniałe, jak i niedorzeczne; niechże nam wystarczy, że oprze się na kordjalności.

„Miłujcie się nawzajem” — to była zasada boska.

Zasada ludzka jest prostsza: „Daj mi rabarbaru, a ja dam ci senesu”.

*

*

*

— On zna wszystkich.

Oto najwyższa pochwała w środowisku interesów. Przedsiębiorstwo handlowe, czy przemysłowe, wybiera swych administratorów i agentów, nietyle z racji ich zasług, co z racji ich stosunków.

Oczywiście dzieje się tak samo we wszystkich innych dziedzinach.

Jeden z najbardziej wpływowych polityków naszych czasów cieszył się, że można było o nim powiedzieć, iż ma we Francji trzydzieści osiem milionów kolegów. Łatwiej jest zrobić wielką karierę w Parlamencie, jeśli się posiada tereny łowieckie i chętnie się zaprasza na polowania.

Przyszłość urzędników i sędziów uzależniona jest od ich znajomości.

Stanowisko zawodowe dziennikarza mierzy się nietyle zaletami jego talentu, ile zaletami ludzi, których jest skłonny zaprosić na śniadanie.

„Mieć stosunki”, to znaczy mieć możliwość dobrej lokaty kapitałów, gdy się prowadzi interesy, albo mieć możliwość intrygowania, jeśli się jest w polityce, — oto marzenie każdego współczesnego człowieka.

Żyjemy w epoce pośredników, nie znamy zaś twórców. Trzeba było, by wynalazca chłodnictwa umierał prawie z głodu, żebyśmy się dowiedzieli jego nazwiska. Honor i fortuna przypadły w udziale tym, którzy umieli stworzyć dostateczną ilość różnorodnych warunków, żeby eksploatować jego wynalazek.

Tem gorzej dla Tellier'a: był on z tych, którzy nikogo nie znali.



Naogół wzięwszy, znajduje się we Francji kilkaset, lub najwyżej kilka tysięcy osób, które z różnych tytułów dzierżą władzę publiczną.

Są one zobowiązane do kontrolowania się nawzajem. Niestety, wolą porozumiewać się ze sobą.

Nie są to ani rządy jednego, ani rządy wszystkich: to rządy pewnej ilości osób.

Montesquieu zrozumiał możliwość ustroju tego rodzaju: nazwał go arystokracją i wyobrażał sobie jako rządy najgodniejszych. Błędem naszej epoki było zastąpienie najgodniejszych przez tych, którym się najbardziej spieszy do kariery.

Ci dzisiejsi „arystokraci”, podobnie jak arystokraci wszystkich czasów, mają interesy, przyjaciół, klientów.

Mają także czasem poczucie powszechnego interesu. A ponieważ nikt w nich tego poczucia nie budzi, jest więc ono wyrazem ich subtelności.



Francja nie ma już urządzeń państwowych: doszła stopniowo do zniesienia wszelkiej kontroli. Wprowadziła do prawa moralnego formułę eko-

nomiczną wolnego handlu: „laissez faire, laissez passer”.

Jednakże w tym kraju, gdzie nikt nie ma już obowiązku bronięcia uczciwości, ludzie nieuczciwi stanowią mniejszość. Moralność publiczna jest u nas tego rodzaju, że nikt, że tak powiem, nie kradnie. Jest tylko prawda, że tyle osób umie „dawać sobie radę”.

Politycy rzadko dają się przekupić, ale zawsze dają się zastraszyć.

Urzędnicy nie trwonią pieniędzy; ograniczają się do nieoszczędzania. Mówiąc językiem administracyjnym: „wyczerpują kredyty”. Nieszczęściem jest to, że przez wyczerpanie kredytów podkopuje się ostatecznie podstawy ustroju.

Sędziowie nie zdradzają Sprawiedliwości; wystarczy im, że nie stosują jej w całej surowości do wszystkich przypadków.

Dziennikarze nie stają się bynajmniej współwinnymi skandalu. Zadawalniają się przemileczaniem najgorszych skandali.

Ogólnie biorąc, każdy urządza się w swoim świecie, jak może i, aby go nie krępowano, stara się nie krępować innych.

Pies, który niósł obiad swego pana, bronił go tak długo, jak mógł, poczem upomniał się o swoją część. To był, mimo wszystko, bardzo dzielny pies. Ileż jest takich, któreby od razu zjadły obiad, nim dostarczonoby im do tego pretekstu.

•

* *

„Nazywam Republiką — mówił J. J. Rousseau — wszelkie państwo, w którym rządzą prawa, przy jakiegokolwiek formie administracji; wtedy bowiem tylko decyduje interes publiczny, i wtedy sprawa publiczna jest istotnie czemś realnem”.

Pod tym względem, nic nie jest mniej podobne do Republiki, niż system, w którym żyjemy.

Błędem byłoby dziwić się temu nadmiernie: nasz ustrój administracyjny datuje się z VIII roku; nasza konstytucja została uchwalona w roku 1875 przez Zgromadzenie monarchistyczne; jedynie Republika nie współdziałała przy tworzeniu republikańskiego ustroju prawnego.

— Stwórzcie króla, a jeśli nie, to zróbcie pokój — mawiał Marcel Sembat.

Według nas należałoby powiedzieć:

— Powierzcie monarsze kierowanie instytucjami monarchicznymi, a jeśli nie, to oddajcie instytucje demokratyczne na usługi demokracji.

Ogólnie biorąc, jest w tem może myśl dość prosta. Jednak, od czterdziestu lat nikt nie zdaje się tego spostrzegać.

*

*

*

— Tak dalej być nie może — głosi p. de Lannessan, były minister z gabinetu Waldeck- Rousseau.

Dzienniki wtórują mu chórem. Siły ekonomiczne tego kraju zaczynają buntować się przeciw władzom politycznym. Nawet w parlamencie tworzy się partja opozycyjna republikańska.

Nie ukrywamy przed sobą, że te próby są jeszcze niezupełnie konkretne: dzienniki wdrażają się dość niezręcznie do pracy krytykowania, od której odwykły; parlamentarzyści decydują się z trudnością na staczanie prawdziwych bojów. Nawet opinja zachowuje pewien sceptycyzm w stosunku do buntu, jak mniema, spóźnionego. Nie nie szkodzi: to jest pierwszy objaw opozycji, nadzieja kontroli.

Wszędzie zaznacza się potrzeba organizacji. Już odmłodzono programy polityczne wraz z reformą wyborczą i reformą administracyjną. Zwolennicy rewizji konstytucji są dziś we wszystkich partjach.



„Ateny miały w swem łonie te same siły, zarówno wówczas, gdy panowały z taką chwałą, jak i wówczas, gdy służyły z taką hańbą”¹⁾.

Francja, której siły są nienaruszone, szuka nowych urzędów.

KONIEC.

¹⁾ „O duchu praw” III. 3.

P O S Ł O W I E

„W dwadzieścia lat później“.

Wielu pisarzy, mając już pozycję w literaturze, opuszcza ją dla zdobycia pozycji politycznej. Czy to ambicja, czy przekonanie, czy kura-cja odmładzająca? Nie pragnę ich naśladować; nie zajmuję się polityką. Polityka jest nieprzy-jaciółką stylu — oto jedyna prawda. Politykę fabrykuje się przy pomocy słów; to znaczy, że nie ma ona żadnej styczności z piórem. Polityka wprowadza do dzieła sztuki koncepcje intelektualne, a takie koncepcje zabijają dzieło sztuki i puszcza-ją trupa na flukty czasu.

Pisząc tę przedmowę *), nie mam więc uczu-cia klerka **), który zdradza. Los wciągnął kler-ków w roku 1934 do życia politycznego. Zresztą, samo Państwo skłania ich do tego coraz natar-czywiej przez to, że wciąż wzrastają podatki. Li-

*) W oryginale — „W dwadzieścia lat później” — umieszczone jest jako przedmowa.

**) Morand nawiązuje tu do znanej książki J. Benda „La trahison des clercs”, omawiającej „zdra-dę” inteligencji, która wyrzekła się swych ideałów i swego posłannictwa.

terat w 1848 r., a nawet w 1914 r., nie płacił podatku dochodowego, podatku od swoich książek; lecz dziś, czy mógłby zapomnieć o cencie B i rubryce dochodów zawodów wolnych? Uważa sobie za zaszczyt, że należy do trzech milionów podatników, z których żyje kraj; uzyskał dla swego pióra, i to nawet za dużą cenę, prawo krytykowania ustalonego porządku, a raczej nieporządku; i krytyka ta skuteczniejsza jest, niż jego kartka wyborcza, która ma conajwyżej skutek spóźniony, albo nawet nie ma go wcale, od czasu, gdy miłe sprzysiężenia wyborcze starają się fałszować wynik głosowania; głos wyborczy nie jest już bronią: to rękojeść noża — bez ostrza.

2
Nie jestem ani prawicowcem, ani lewicowcem. Nie jest wszak objawem politykierstwa, jeśli się pragnie być obywatelem kraju, umiającego się bronić i nakazać dla siebie szacunek; kraju, w którym pociągi się nie zderzają, samoloty nie spadają, okręty nie padają pastwą płomieni, złodzieje i mordercy są karani, wychowawcy nie uczą odstępstwa, a robotnicy warsztatów uzbrojenia, którzy mają wyrabiać broń na obronę ojczyzny, nie śpiewają Międzynarodówki. Czyż to jest punkt widzenia tak dziwny, tak nowy, tak „faszystowski”, jakby powiedział Alfred Fabre-Luce (któremu faszyzm spać nie daje)? We Francji jest tylko jedna dyktatura gotowa do działania: bolszewizm. Protestuję jedynie przeciw bezowocnemu użytkowaniu pieniędzy, plonu mej pracy, które Państwo mi zabiera i trwoni. Proszę mi wybaczyć, że podkreślam tak to zagadnienie;

Styczeń
1938!

jest ono wielkiej wagi: to właśnie podatek doprowadził do odebrania polityki specjalistom, tak jak wojna odebrała strategję i dyplomację — technikom.

Żądamy tylko, aby im zwrócić tę ich politykę, pod warunkiem, iżby z tego korzystali z minimum chociaż uczciwości. Lud francuski nie był bardzo wymagający. Zadowalał się czystym frontem swego państwowego gmachu, lecz oto zbrukały go bezlitośnie niegodziwe ręce. Naród polegał na swych elektach w zarządzie miejskim — tym śmietniku gospodarskim. Pochłonięci całkowicie swemi kłótniami, zaniedbali spełniania swych obowiązków. Dlatego trapi nas zaraza. Skoro epidemia zostanie powstrzymana, niechże ustawodawcy wezmą się do swej miotły. Przestrogi tak dawne, tak bystre, spisane piórem tak ciętym, jak Roberta de Jouvenel — nie zostały usłyszane. Podajemy je więc znowu, w tej samej chęci pojednania i przyjaźni, choć naszym zdaniem, w 1934 r. jest już zapóźno.

To już nie rok 1913, rok, w którym powstał ten sławny pamflet. Wówczas było się jeszcze blisko tego zasobnego roku 1900, brzuchatego i okrągłego jak luidor. Francja pozwalała robić wszystko ze sobą, pozwalała się zdradzać; to epoka drobnych awanturek, powiedzonek w stylu Capus'a, umarzań procesów, epoka owego „wszystko się samo układa”. Panuje ogólna pobłażliwość. Skandale są dziecinne. Nikt nie jest naprawdę skrzywdzony; ludzie chodzą koło swych spraw, mniej lub więcej porządnych, przez cały rok za-

maskowani, jak w Wenecji z czasów Casanovy. Nie naprawia się pęknięć; tynkuje się je tylko. Zbytkuje się namiętnie, biesiaduje, zabawia. Za ledwie przewiduje się groźbę niemiecką i podatku dochodowego. To rozkwit tej wspaniałej rośliny pnącej, dojrzewanie tej olbrzymiej dyni, która się nazywa Republiką Koleżków. Ten „związek wielkiej przyjaźni”, którym jest, według Michelet’a, Republika, rozwija się pomyślnie wśród trójkolorowej zażyłości. Oczywiście Francuzi, jak i cały świat, potrzebują pieniędzy, lecz bardzo mało; nie widzieli jeszcze działania inflacji, nie słyszeli nigdy o dolarze. Nasza administracja jest nietykalna i mówi się, że Europa nam jej zazdrości. Troska o pozory stanowi sama dla siebie prawo moralne, naogół skuteczne. „To co powstaje między ludźmi, którzy się zajmują sprawami publicznymi”, mówi nam Jouvenel, to nie jest „ani sympatja, ani poważanie, ani zaufanie; jest to raczej koleżeństwo, coś, krótko mówiąc, pośredniego między poczuciem solidarności korporacyjnej i współwiny... Postawcie tam zawodowego «politykiera», ambitnego urzędnika, naiwnego ministra, bo istnieją i takie gatunki ludzi, i wyobraźcie sobie, na jakie targi, kompromisy i szantaże będą wówczas narażone nasze instytucje”. W 1934 roku nie potrzebujemy już sobie nic wyobrażać; wystarczy nam tylko rozejrzeć się dokoła: doszliśmy już do tego. Cały świat stacza się po równi pochyłej.

Bo oto przyszła wojna, mobilizując, burząc i przemieszczając bogactwa i ludzi w przyspie-

szonem tempie; potem nastąpił okres powojenny, z ruinami na każdym rogu ulicy, niespodziewanemi uśmiechami fortuny, inflacją, najwyższą niemoralnością, cynizmem, brakiem kultury, pychą i pięknym zastępem paskarzy i obieżyświatów, którzy wiodli swe damy do bufetu i zabawiali się aż do świtu na balu, prowadzonym przez Szatana. Francuz-rezoner, to znaczy niepraktyczny, nieświadomy, łatwowierny, bardziej zaślepiony przez idee powszechne, niż inni przez głupotę, Don Juan — wieczny rogacz, widzi, że jest na swej własnej ziemi poucany, wyzyskiwany, ujarzmiony przez czerebę paskarzy o śniadej cerze i egzotycznych spekulantów o lnianych włosach. Gualino, Romagnino, Stavisky, Garfunkel, Simonovich — co za dziwne brzmienia, prawie niemożliwe do wymówienia dla Francuza z 1910 roku! Francuz, to uorderowany pan, który nie zna etnografji. To mu pozwoli traktować Gobineau jako pisarza niemieckiego. Teraz musi się przyzwyczaić do tych chropowatych nazwisk: należą one bowiem do jego jutrzejszych współobywateli.

Tymczasem zespół polityczny nie zmienił się; pozostaje wierny Republice Koleżków; zato ona się zmieniła. To koleżeństwo, w skład którego wchodziło tyleż poczucia solidarności, ile współwiny, teraz jest tylko współwina.

Istnieje może powód tego: dawniej, Republika Koleżków niewiele miała twardych orzechów do zgryzienia; od 1879 r. do 1920 r., w ciągu czterdziestu lat, musiała skonsumentować tylko dwa pasztety: Panamę i miliardowe fortuny zakonów;

reszta: Wilson, Rochette, Teresa Humbert — to były drobiazgi. Koleżkowie rozdzielają między siebie przedewszystkiem prebendy rządowe, pobory, skromne koperty z sumami z funduszków sekretnych, jakieś emerytury. To wszystko, do 1920 r., kiedy to piękna jutrzienka wschodzi dla wielkich łotrów i łotrzyków: miljardy funduszków amerykańskich, miljardy odszkodowań; oto początek tego pełnego korzyści likwidowania wojny, które wzbogaciło ludzi, zanim ich zrujnowało; tak, jak gospodyni tuczy gęś, aby mieć smaczniejszy kasek. Oszczędność, zwiększona przez inflację, marzy o potrojeniu na giełdzie olbrzymich sum, któremi rozporządza; natychmiast zbiegają się włamywacze; wszyscy aferzyści z całego świata zagarnęli w ciągu dziesięciu lat niezmierne łupy. Od czasów Cesarstwa ten kraj — najbardziej nieufny na świecie — skąpił na wszystko z wyjątkiem kontroli; kontrola była wszędzie, inkwizytorska, drobiazgowa, szkodliwa. Pomiedzy nią a życiem, Francja zgromadziła niesłychany system organów obrony, rozmieszczonych jak gruczoły w organizmie. Otóż w dniu przypuszczenia ataku system ten nie funkcjonował. Ze wszystkich upadków, które przeżywamy po wojnie, najbardziej sensacyjny był upadek kontroli. Połowa narodu poświęca swą działalność, by przeszkodzić drugiej połowie w oszustwach; rezultat: sprawa Stawiskiego. Nietrudno jest zrabować oszczędności, lecz jeszcze wygodniej ograbić państwo; jakieś małe konszachty w Prasie i Parlamencie (przyczem, Parlament mniej kosztuje, niż Prasa).

wystarczają, dla wprowadzenia w ruch groszy. Państwo-Opatrzność, to marzenie partyj lewicowych, ucieleśniało się; i prawicowcy znajdują tam też coś dla siebie; jeśli bowiem proletarjat i jego przywódcy zbierają żniwo pensyj, pomocy, posad, prebend i synekur, to kapitalizm sprząta pokłosisie zamówień, subwencyj, uprzywilejowanych taryf i premij produkcyjnych. Zonglowanie ustawami zgromadza w rękach Państwa zawrotną ilość kapitałów; połowa bogactw francuskich przesącza się przez olbrzymie skarbonki: Ubezpieczenia Społeczne, Miejskie Banki Kredytowe, Kasy Oszczędności. Państwo stało się wielkim kapitalistą, potwornie brzuchatym. Co za różnica, że ciułacze są nieufni i zakopują oszczędności w ziemi? Za pomocą podatku Państwo siłą wydobędzie je z kryjówek, dla zysku wielkich rekinów, które pluskają się w tych dobrach martwej ręki. Koleżkom, ich żonom i przyjaciółom nie chodzi już o jakieś tam składki tytoniu, czy garsé orderów. Mają przed oczami błyszczące miliony a przed wyciągniętą ręką wielkie czeka-węże, których jad zawarty jest w talonach. Zbytek, kobiety, Paryż, pożądania drobnych karjerowiczów prowincjonalnych, sny szaleńcze, realizują się w ciągu kilku miesięcy, dzięki Oustricom i Stawiskim. I bezkarność jest zapewniona: wielcy szantażyści, którzy z uśmiechem przechodzą przez wszystkie procesy i naza-jutrz po krachach i wyrokach, które dotknęły innych, znów pojawiają się u ministrów, mówiąc tak samo głośno, z tak samo arogancko nałożonym kapeluszem — ci benjaminkowie régime'u

strzegą tajemnic swych ksiąg, bez względu na to, co się zdarzy. Zresztą nic, lub prawie nic się nie zdarza; olbrzymia sieć zaciska cały kraj; jeśli nawet się przetnie jedno czy dwa oczka, wszystko zostaje bez zmiany. Dlatego skwapliwie łąta się dziury, dlatego Republika Koleżków z konieczności staje się Republiką Współwinowajców.

*

*

*

Nikt nie rodzi się młodym we Francji, lecz staje się nim — powiedział Michelet; w pół wieku potem, w epoce opisanej przez Roberta de Jouvenel, nasza młodzież nie miała jeszcze prawa do niczego. Stawiała ostrożne kroki, wstydząc się swej smukłości i jędrnych policzków. Najbardziej ambitni, znudzeni tą zwłoką, pragnąc dojść wcześniej do czegoś, starali się zaimponować brodą i brzuchem, które nawet dziś jeszcze prowincja uważa za odznakę cnót obywatelskich. Początkujący polityk powinien zachowywać skromne milczenie podczas całego pierwszego roku swej kadencji poselskiej. W tem społeczeństwie silnem i o mocno rozbudowanej hierarchji, tacy Juljuszwowie Sorel posuwali się naprzód noga za nogą, bowiem czasy spokojne przeznaczone są dla ludzi starszych. Lecz za to czasy niespokojne, to atmosfera dla początkujących i dlatego dziś młodzi nie liczą się już ze starszymi, których słabości i słabość znają dobrze. Zresztą ród olbrzymów, ich ojców, przeważnie już wymarł; to też te niespeł-

na czterdziestolatki, nie widząc nikogo przed sobą, wdzierają się do ośrodka władzy, jak do pałacu pustego i zaczarowanego. Zdumieni i zaskoczeni nacisną dzwonki i wielka maszyna administracyjna zacznie się poruszać.

Jouvenel (omal nie napisałem: Juvenal) mawiał, że: „szanować zwyczaje domu i nie szkodzić sobie wzajemnie”, było drugą zasadą Republiki Koleżków. Wcieleniem tej zasady była partja radykalno-socjalistyczna: to była partja-bufor, pośrednik uczynny i wygodny pomiędzy konserwatystami a marksistami, pobierający prowizję od obydwóch; dziś tę prowizję uważa się za zbyt uciążliwą i przeciwnicy wolą się porozumiewać bezpośrednio. Jeśli partja radykalno-socjalistyczna tak osłabła, to dlatego, że atmosfera koleżeństwa zanika. Opierając się na niektórych innych objawach, można postawić djagnozę, że solidarność słabnie pomiędzy pingwinami z Wyspy *). Bardzo niedawno, na plenum Komisji Sprawiedliwości, pewien Prezes Rady Ministrów uznał za „najzupełniej zgodne z prawem” intrygi swego Ministra Spraw Wewnętrznych, dążące do obalenia rządu. I oto rozumiemy już wszystko: współpracę ministrów zastąpił system sideł i pułapek, a posiedzenia Gabinetu przypominają filmy Marx Brothers, z ciąglem podstawianiem nóg i niespodziewanymi ciosami. Nawet na trybunie widziano jednego z najświetniejszych młodych mówców prawicy, rzucającego te świętokradcze słowa: „Jeste-

*) Anatol France: „Wyspa Pingwinów”.

śmy tu wszyscy wybrańcami kraju, a kraj wyśmiewa się z regulaminów parlamentarnych". Ten neofita, rozdzierając zasłonę świątyni, oddał na łup publiczności śmieszne misterjum tajnego głosowania i prostowanych retrospektywnie wyników. Niegdyś, kłótnie parlamentarne, burzliwe w amfiteatralnej sali, uspakajały się na korytarzach w drodze do bufetu, gdzie ciosy walczących stawały się już tylko przyjacielskim klepaniem po ramieniu. Lecz dziś spory są tak gwałtowne, że przeciwnicy, którzy dopiero co znieważali się na trybunie, rzucając sobie w twarz prawdy, które czasem nawet są prawdziwe, nie mogą już po wyjściu mówić sobie nadal po imieniu. Walka wstrząsa murami Pałacu Burbońskiego i wychodzi poza nie na Paryż w artykułach dziennikarskich, w odezytach, w radjo. Chodzi tu bowiem o podbicie Paryża. To w jego stronę się zerka. Dla Paryża to właśnie streszcza się dziś na odczytach przebieg obrad parlamentarnych. W Rocznikach *) prezydent Herriot broni swej polityki zagranicznej, skrytykowanej w Izbie. W restauracji „Aux Ambassadeurs” p. Blum usiłuje odnaleźć elegancją publiczność z pierwszych lat swej działalności, którą opuścił, aby przejść do ludu; tam również p. Filip Henriot, w sposób uszczypliwy i pogodny, przypominający styl Roberta de Jouvenel, wyśmiewa także Republikę Koleżków. Ale coś się zmieniło w powietrzu, bo oto nagle satyra wznosi się na wyższy poziom: „Ma-

*) Annales.

sy nie mają już wiary w ludzi, którym wypaczone rozumienie zawodu kazało zapomnieć o naszym kraju, zostawiając im jedynie pojęcie okręgu wyborczego. Dlaczego Francja właśnie ma świecić nieobecnością na przedstawieniach w Pałacu Burbońskim?" Ten głos poważny, wzruszony, nie jest już głosem Roberta de Jouvenel. Bo jesteśmy oto w r. 1934, bo przeżyliśmy historyczne godziny, gdy nasz kraj zdawał się ginąć, dziesięć lat zaburzeń ekonomicznych, które zmieniły oblicze społeczeństwa, wczoraj zaś krwawe rozruchy, o których nikt nie wie, czy są wypadkiem bez jutra, czy też zapowiedzią przyszłości. A ponad wszystkim — groźba tych ustrojów dyktatorskich, w których ginie wolność prasy i opinii.

Czy to przecucie możliwego końca naszych pism wytwarza w nas tak silne przywiązanie do nich? Tej zimy czytaliśmy ich po dwadzieścia dziennie. Paryż ma swe dzienniki gwelfowskie i gazety gibelinowskie. Pisma dziwne i gwałtowne, świstki satyryczne, wyrastają wszędzie i cała masa sprzymierzeńców i stronników staje się ich klientelą. Dla publikowania sprostowań jedynie, trzeba by było robić wydania nadzwyczajne. Po emocjach giełdowych z r. 1924, nastąpiły emocje policyjne. Rozdział pomiędzy Narodem a Parlamentem nie jest już utajony, wybucha w biały dzień, z komedji zmienia się w dramat, wypełnia wielkie dzienniki, których nakład powiększa się dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć... Jedyne dziennikami, które znikły, są dzienniki Stawiskiego, a i to... Wstępny artykuł polityczny pełen

jest hasel wojennych, jeśli nie nawoływań do mobilizacji, a nawet staruszka kronika, opuszczając zaciszne gaje, rzuca się na pole bitwy.

Niegdyś Paryż i prowincja budziły się co rano, echiwe zapoznania się z myślami Carrel'a, Girardin'a czy Villemessant'a — powiada Jouvenel, który żałuje, iż czasy te przeszły i oplakuje upadek prasy kierującej opinią. Otóż właśnie czasy te powróciły na korzyść Daudet'a, Blum'a czy Bailby. Nasi najślawniejsi publicyści piszą z pasją, której historia da świadectwo tak, jak i zanotuje może, że nasi politycy-aferzyści dają pierwszeństwo telefonowi: mniej boją się podsłuchu, niż pisanía, bo jedynie atrament plami. Nie znają jeszcze słodyczy ustroju sowieckiego, gdzie, aby mówić swobodnie i myśleć głośno, trzeba być co najmniej w samochodzie, w szczerem polu...

Ale zanim będą musieli uważać na to, co mówią, niech przynajmniej uważają na to, gdzie bywają. Robert de Jouvenel głosi pożyteczność stosunków dla młodego parlamentarzysty; lecz to wydaje mi się mało aktualne. To, że „on zna wszystkich”, nie jest już doprawdy pochwałą. Ogląda towarzyska kryje w sobie ryzyko więzienia, a telegramy gratulacyjne mogą doprowadzić do samobójstwa. Są biesiady, które zabijają. Wzorowy urzędnik czy parlamentarzysta z przyszłością, powinien przeciwnie, żyć w odosobnieniu, podobno bowiem doskonałym krytykiem jest ten, który nie przyjął nigdy nawet szklanki wody. Samotność jest matką godności i bezinteresowności. Lecz któż kocha tak swą przyszłość, aby dla niej

poświęcić byt teraźniejszy? Każdy Francuz jest towarzyski, a już zwłaszcza Paryżanin. W Paryżu wszystkie partje się pomieszały: komuniści palą opjum razem z miljonowymi handlarzami obrazów; prokuratorzy jedzą kolację z rajfurkami w zamkniętych gabinetach (gdzie zresztą maître d'hôtel jest tajnym agentem policji); księżne tą samą herbatką podejmują mówców katolickich i spekulantów, którzy wyrabiają licencje przywozowe. Czy tyle skandali uczyni ostrożniejszym nasz wybór „drogiego przyjaciela?”. Sytuację stwarza się sobie, nie otwierając każdemu drzwi — powiedziałby p. de Guermantes — ale umiemy je zamknąć.

Podkreśliłem więc dystans, który nas dzieli od umysłowości tak przecież niezależnej i tak jasnowidzącej, jak Robert de Jouvenel. Do czytelnika teraz należy zachwycać się tem, co pozostało w tej książce tak bardzo prawdziwe. Stronice, które analizują mechanizm prac parlamentarnych, które opisują dowcipnie wprowadzenie w urząd nowego ministra, tworzenie jego gabinetu, zabiegi adherentów, usiłujących dostać się tam bez konkursu, i walkę tych wszystkich nowych przybyszów z administracją, którą rzekomo kierują, zdają się być dziś napisane. W takiej to chwili, gdy ludzie nieostrożni mówią o przeciwstawieniu Paryża prowincji, nie cofniemy się przed tem, ażeby wraz z doskonale poinformowanym autorem, przebyć tę drogę poprzez szczeble hierarchji departamentu, na której etapami są: towarzystwa gimnastyczne, komitety, loże, rady

okręgowe i rada generalna. „Paryż i wielkie miasta mają swoiste obyczaje wyborcze, Południe powoduje się entuzjazmem, prowincje górskie licznymi potrzebami, kolonje zaś starają się przypo-
dobać”. To zdanie zachwycające, jakby żywcem wzięte z XVIII wieku, wprowadza czytelnika do owej Republiki Koleżków, która byłaby może najszczęśliwszym z ustrojów, gdyby umiała trwać. Ale czy mogła trwać?

*

*

*

„To nie może trwać” — głosił p. de Lannessan, były minister z gabinetu Waldeck-Rousseau. To trwało jednak przez wiele kadencyj parlamentarnych. Ale zdaje się, że koniec się zbliża. Sam antyklerykalizm kona, skoro Homais stał się Knock’iem; wnętrzności naszego najpiękniejszego stowarzyszenia tajnego trawi bolesna choroba; wiele o niej mówi opinja publiczna, która nie szanuje żadnego sekretu. Opinia publiczna czeka zmiany: ekipy o czystych rękach.

„Taka rewolucja wymaga zupełnego przewrotu obyczajów, wymaga «ascezy»”. O co chodzi? O Parlament, Sądownictwo, Administrację? Nie, tak pisze dziennik „Auto”, chodzi o rugby, ze-psute, jak wszystko we Francji, przez Południe i przybyłych zeń graczy. W całym kraju wszyscy wrzeszczą unisono: „Ratujmy Francję”. Ale na prawicy ma to znaczyć: „Rozpędźmy Parlament” a na lewicy: „Brońmy Parlamentu”. Do-

póki będą istniały dwa przeciwne sposoby ratowania Francji, Francja nie zostanie uratowana.

Ponieważ działania, zupełnie nawet pozbawione rozgłosu i najbardziej oddalone, wloką za sobą następstwa jak woły pług, przeto rok 1914 i jego po dwadzieścia razy powtórzone błędy spowodowały rok 1934 i lawinę tych wszystkich niezapłaconych weksli. Epoce, która przestała rozumieć, co to jest kara, pozostaje tylko sprawiedliwość immanentna. Dziś, gdy z błyskawiczną szybkością zadaje się i odparowuje ciosy, wyniki walki nie każą długo czekać na siebie. Ulica staje się prokuratorem. Nieubłagana kara dosięga, niewiadomo skąd, winnych (i nas równocześnie); spada jak kruk na głowę Pallas-Ateny z okrzykiem: *Never more!*

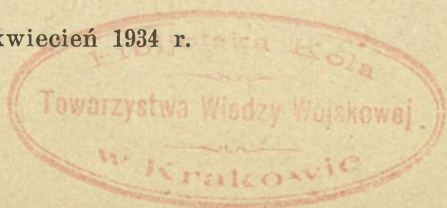
Nasze czasy cierpią na przerost wymiarów. Dla spraw z 1934 r. żadna kasa ogniotrwała nie jest dość obszerna. Napróżno awanturnicy, którzy je wywołali, chcieliby w swych duszach drobnych kupców utrzymać je w proporcjach rozsądnych; wkrótce wychodzą one poza wszelkie uświęcone granice, wymykają się z pod decyzji świadomej, stają się czemś, czego nie oczekiwała myśl najśmielsza. Oszustwa przerastają oszustów, przerastają ludzi potężnych, o których Barrès mówił, że są warunkiem koniecznym, aby udawały się oszustwa; przerastają nawet siły Państwa. Wszystko dziś jest na zbyt wielką skalę; skala to nieskończenie wielka, jak drabina Jakóba; wciąż potrzeba kogoś coraz to większego: dlatego też urzędy pochłaniają ministrów, dlatego też Syndy-

katy łatwo pokonywują. Łoże i same z kolei wchłonięte zostają przez Międzynarodówki. Międzynarodówki wpadają w paszczę narodowych olbrzymów miljonookich i miljonogębnych, a te znowu pożerają się między sobą, czekając, aż je pochłonie ziemia, nasza święta matka i nasz ostatni spoczynek. Wieża Babel, o której ludzie 1920 r. sądzili, że będą mogli odbudować dzięki Genewie i metodzie Berlitz'a, rozpada się, a każdy jej kamień staje się pociskiem, przeznaczonym dla bliźnich.

Czem się staje w ramach tych nieskończonych wymiarów ustrój koleżeński z 1914 r.? To drobne małe stowarzyszenie wzajemnej pomocy mogło wyżywić swych członków tylko w wąskich ramach antycznej republiki. Wielkie ekspresy międzynarodowe, reklama, fale długie i krótkie, zażyły ją podobnie, jak i wiele innych słodczy życia francuskiego. Nadmierne koszty artykułów spożywczych podniosły cenę uczciwości do wysokości nieosiągalnej; stąd wygórowane wymagania, jakie stawiają wyrobnicy parlamentarni. Republika Koleżków, ta miła łódeczka przeznaczona dla koleżeńskich wycieczek wśród słonecznej pogody, zabłąkała się wśród burzy; został z niej tylko kadłub bez żagli, wielokroć naprawiany, który, według wyrażenia marynarzy angielskich, „trzyma się tylko dzięki farbie”. Dziś nawet i farba odpada...

Paul Morand.

Padwa, kwiecień 1934 r.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
Przedmowa do polskiego przekładu	5
Wstęp	9

PAŁAC BURBOŃSKI

C z ę ś ć p i e r w s z a

SZCZEBLE KARJERY

I.	O zawodzie	19
II.	Jak zostaje się posłem	22
III.	Jak zachować mandat	25
IV.	Jak zostaje się przyjętym do grona poselskiego	27
V.	Jak sobie zdobyć pozycję	30
VI.	Jak się zostaje wybitnym posłem	32
VII.	O postawie zawodowej	35

C z ę ś ć d r u g a

RZEMIOSŁO

I.	Kontrola parlamentarna	40
II.	O partiach i programach	46
III.	Ugrupowania	52
IV.	Prace parlamentarne	59
V.	O poprawkach	64

	Str.
MINISTROWIE I MINISTERSTWA	
I. Wprowadzenie w urząd	73
II. Minister wobec personelu	77
III. Gabinet ministra	81
IV. Minister podpisuje	88
V. Urzędy funkcjonują	94
VI. Próbką urzędowania bez zobowiązań i sank- cyj	98
VII. Zawód bez przepisów i gwarancyj	103
VIII. Abdykacja	107

SĄDOWNICTWO

C z ę ś ć p i e r w s z a

ORGANIZACJA WĄTPIENIA

I. Sumienie sędziego	113
II. Rzemiosło	116
III. Legalność	119
IV. Ewolucja prawa	122
V. Rozprawa	125
VI. Oskarżenie	128
VII. Obrona	130
VIII. Organizacja wątpienia	133

C z ę ś ć d r u g a

WPŁYWY

I. Polityka	135
II. Stosunki	139
III. Adwokat	142
IV. Środki administracyjne	144
V. Otwarta droga	147

CZWARTE MOCARSTWO

I.	Wielkie przedsiębiorstwo	153
II.	O tem, że trzeba szanować władze polityczne	159
III.	O tem, że trzeba popierać interesy potęg handlowych	164
IV.	A pozatem, ma się stosunki	169
V.	Koniec dziennikarstwa	175
VI.	Apologja Rouletabille'a	181
VII.	Prasa i opinja	187
	Zakończenie	195

POSŁOWIE

W dwadzieścia lat później	203
-------------------------------------	-----

JAN ST. BYSTRON

KULTURA LUDOWA

Cena 12 zł

CZESŁAW ZNAMIEROWSKI

Konstytucja styczniowa i ordynacja wyborcza

Cena 4 zł

Nasza Księgarnia, Warszawa Świętokrzyska 18



37698/

12